

PISMO DLA RODZIN.

№ 27. Warszawa, dnia 26 Czerwca (8 Lipca) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

ZAWIADOMIENIE.

Biuro Redakcyi „Opiekuna Domowego“ z dniem 8 Lipca r. b., przeniesione zostało pod Numer 72 przy ulicy Nowy-Świat.

Do Czytelników.

Główną cechą pisma, mającego na celu dobro rodzin, jest bliższa, bezpośrednia łączność jego z ich potrzebami, pewien sympatyczny związek, jedynie dający możność rzetelnego oddziaływania organu prasy na ogół, którego interesów jest wyrazem. Niepochlebiając sobie, iż stanęliśmy już na wysości zadania, z prawdziwą pociechą widzieliśmy od początku naszej pracy uwydatniającą się taką przyjazną spójnię, odbieraliśmy życzliwe głosy i przyjazne słowa w odpowiedzi na szczere usiłowania nasze służyć poczciwej sprawie. Dążeniem naszem jest stosunek taki wzmacniać i rozwijać na pożytek ogółu, a zaufanie czytelników, jakie zdobyć potrafiliśmy, skierować na sprawę najważniejszą. Sprawą taką jest *wychowanie* i to wszystko, co z niem ma związek.

Sprawa wychowania, ta najdonioślejsza sprawa wewnętrznego życia społeczeństwa, długo u nas zaniedbaną była. Dziś atoli uwaga ogółu zwracać się zaczyna powoli w stronę źródła klęsk niepoliczonych, budzić się zaczyna świadomość smutna obecnej jeszcze wadliwości wychowania domowego, zaczynamy głębiej zapatrywać się na ten przedmiot i z niepokojem oglądać się za środkami poprawy. Że ruch w tym względzie słaby jeszcze i świadomość w czyn zwolna przechodzi, przekonaliśmy się z własnego smutnego doświadczenia, ale przemilczmy o tem, bo nie *pro domo sua* mówić tu zamierzyliśmy.

Że sprawa wychowania zaczyna silniej interesować znaczną część naszego społeczeństwa jest to rzeczą pewną; część matek, wychowawczyń i wychowawców pracuje w tym kierunku rozumowo i sumiennie. Praca ta obok teoryi opiera się na praktyce i doświadczeniu, i więcej niż każda inna potrzebuje obserwacyi, spostrzeżeń, zamiany myśli, rad i uwag; więcej niż każda inna wymaga wielostronnych dyskussyj i rozpatrywania się w szczegółach.

Sądzimy tedy, że nie bez pożytku będzie dla ogółu, zajmującego się szczerze rzeczami wychowania, otworzenie w Opiekunie miejsca, w któremby rozwinąć się mogła swobodnie rozmowa żywotnej kwestyi; co więcej, przekonani jesteśmy, że otwarcie takiej rubryki w łamach pisma wchodzi w potrzebę myślącego i pracującego na niwie pedagogiki ogółu. Ileż tu spotyka się trudności, ile zawiłych kwestyj, sprzecznych a niezdecydowanych poglądów? Ile wątpliwości zdarza się tu przy pracy, ile spostrzeżeń i plonów doświadczenia zbiera każdy inteligetny pracownik, ile prosty traf niekiedy przynosi rezultatów niespodziewanych a pouczających?

Zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się nad pożytkiem zamiany pytań, odpowiedzi spostrzeżeń i opinij, którą proponujemy czytelnikom w „Opiekunie Domowym,“ to też zamiast tego wszystkiego wprost prosimy ludzi, czynnie zajmujących się wychowaniem a głównie matki o nadsyłanie nam zapytań, uwag i spostrzeżeń co do błędów i niedostatków wychowania. Chętnie pomieszczać będziemy podjęte w ten sposób kwestyje, chętnie udzielać odpowiedzi, wskazówki, otwierać szranki polemice.

OFIARA PRZESĄDU.

Pamięci bohaterki tego utworu poświęca

Autor.

I.

Spotkałem w życiu raz dziewczynę młodą:
Jak kir ponurą świeciła urodą;
I choć dłoń szczodra bogatej natury
Stworzyła postać ziemskiego anioła,
Snać nigdy szczęścia biały zwiastun z góry
Nie rozpromienił ponurego czoła.
Pytałem, czemu wśród kwiatów młodości,
Tak ciemna barwa na licu jej gości?
Czemu w jej oczach wiecznie łzy tęsknoty?—
Czyż już nadziei zagasł promień złoty?..
Jaki ból skruszył hart młodzieńczej duszy?—
Jaka w jej piersi drży struna złowieszcza,
Co dźwięk radości dzikim tonem głuszy
I tylko boleść swym głosem obwieszcza?
Pytałem długo—aż z gruzów przeszłości
Odkryłem smętne dzieje jej młodości.

Jak dawno biedną sięgnąć może myślą,
Łzawe obrazy przeszłe lata kreślą: —
Widzi tam matkę, co dawno w mogile;
Twarz jej tak smętna była i zamglona,
Jednak, gdy dziecię tuliła do łona,
Światłem radości zabłysła na chwilę.
Lecz ojca postać próżno myślą goni: —
Nigdy dni dawnych mrok jej nie odsłoni;
Nie wie, czy kiedy spojrzeniem miłości
Oskrzydlił pierwszą jutrznię jej młodości.

Łzawo minęły pierwszych wiosen chwile: —
Matkę sen śmierci kołysał w mogile,
Dzieweczkę obca przyjęła rodzina,
Lecz dziwnie smętna była to dziecina,
Bo postać matki z łzawemi licami,
Często wzlatała nad dziecięcia snami.

II.

I tak smutne dni wlekła przez łzawą niedolę;
A biały marzeń anioł — towarzysz sieroty,
Dał duszy wrzących pragnień swe skrzydła sokole
I powiódł w kraje wspomnień, żalu i tęsknoty...
Wtem... radośniej zabłysły młodzieńcze jej lata: —
Coraz silniej dwie dusze łączyły się społem; —
On był życia sieroty przewodnim aniołem: —
Miała w nim razem ojca, kochanka i brata!
To też szczerem uczuciem pierś biedna zadrżała;
Na ołtarz nowych uczuć z radością oddała
I dni łzawych wspomnienia i... matki mogiłę;
Całą duszą się w jedną spromieniła siłę,
I wyrósł kwiat na grobie ubiegłej przeszłości,
Święty, jak jej uczucia... dziki kwiat miłości!

Jakżeż często zwodnicze są szczęścia promienie! —
Nieraz zimny wiatr zmrozi pierwsze wiosny tchnienie;
Ledwie kwiaty radośnie błysną liśćmi swemi,
Już po chwili uwiędłe schną na zimnej ziemi.
Są w życiu ludzkiem chwile, gdy wśród błogiej ciszy,
Nagle ucho strwożone straszny grom usłyszy.

Miasteczko, gdzie tak w szczęściu żyła para młoda,
Nagle szybko obiegła wieść cicha, tajemna,
Że młodego panicza skusiła uroda
Dziewczyny, której przeszłość samotna i ciemna;
Szeptano też, że wstyd, by szlachcic i pan włości
Podnieść miał dziewczę z mroku hańby i ciemności!..
Ciche szepty wnet doszły do ofiary ucha,
Lecz i we łzach goryczy jaśniała otucha! —
Czem dla niej ten świat cały, czem ludzkie mniema-
[nie! —
Choć ją wszyscy odstąpią — on jeden zostanie!

III.

Przy smętnym blasku światła, jak posąg z kamienia,
Stał młodzian z jakąś wrzącą zadumą na czole,
Stał chwilę... nagle wstrząsł się i ocknął z marzenia,
Jakby w piersi zbolałej zbudził hart i wolę;
I szybkimi krokami ciemny pokój zmierzył —
Stanął znowu... i ręką w czoło się uderzył,
Jakby precz chciał odpędzić jakąś myśl ponurą,
Spuścił dłoń... i znów stanął jak posąg z marmuru!
Jakaś burza gwałtowna w tej piersi szalała,
Jakaś walka namiętna w młodem sercu wrzała;
Wrzącym ogniem gorączki pałała mu głowa,
I z piersi te ponure wyrwały się słowa: —
— Hańba!... tak!... wieczna hańba wisi nad jej czo-
[łem!..
Z nią razem i mnie również kał sromoty splami!...
Czyliż hańbę wspólnemi obmyjemy łzami?...
Nie!... precz już z tą miłością! — precz z złudzeń
[aniołem!..
Dziwną, straszną koleją bieg losu się zmienia: —
A te szczęścia słodycze, te cudne marzenia,
A te nasze sny wieszcze — w dzikiej zwątpień dobie
Czyż dłonią samobójczą uśpię w zimnym grobie?!..
Nie!... nigdy jej nie rzucę!... nigdy!... aż w mogile!...
Ale świat!... znów ta mara zabłysła na chwilę!...
Świat ze wzgardą odepchnie mnie od swego łona,
I zamilknież pierś bratniej miłości spragniona?...
Nie!... nie chcę wzgardy świata!... precz nędzna sła-
[bości!...
Mamże szczęście me całe skruszyć dla miłości?!...
Rzucić bratnie ognisko, gdzie głos święty wzywa,
A później, kiedy skroń już odpocznie sędziwa,
Nic... nic nie znaleść w życiu... prócz marzeń błę-
[kitu!...
Nie!.... o stokroć lepiej mieć piersi z granitu!...
Niech inny świat zabłyśnie przed duszą zbolałą,
I choćby serce wściekłą boleścią zadrżało,
Niech ucichnie na wieki grobowem milczeniem! —
Już praw swych nie wyżebrze!... bo pierś odrodzona
Innych pragnień potęgi zabłyśnie promieniem,
A święta pieśń miłości na wieki w niej skona! —

Długo tak jeszcze długo ta postać z marmuru
Wrzała walką swych uczuć piekielną, ponurą,
Długo jeszcze w posępne myśl pogrążał cienie,
Wreszcie stanął... i ręce na piersi skrzyżował,
Jakby chciał z niej ostatnie usunąć zwątpienie,
Bo tam w głębi nasiona przyszłych czynów chował.

Nagle, jakby tajemna zasłona zadrżała: —
Z ciemności mgły ponurej wstaje postać biała!...
To ona!... śmierci barwą straszą blade lica!...
I z dumą skroń podniosła shańbiona dziewica;
W pierś młodziana, jak sztylet, topi wzrok ponury,
Jakby gromy piorunów Bóg zesłał jej z góry,
Jakby grozy potęgą zaklął dumne oczy; —
Wreszcie prawdę piekielną odgadł duch proroczy,
Że wkrótce dłań zagaśnie jedna dusza bratnia,
I łza zabłysła w oku... żalu łza ostatnia —
To zwiastun pożegnania dni jasnych... na wieki! —
I anioł błogich marzeń wzleciał w kraj daleki!
Długo... długo tak w ciszy owa postać biała
Wzrokiem duszy śmierć w oczach młodziana czytała,
A wzrok ten palił piersi i czytał głęboko...
Wreszcie zwolna ku niebu spojrzała wysoko,
Gdzie duch matki ulatał nad skronią sieroty; —
Wtem księżyc zajrzał w okno... jego promień złoty
Zabłysł barwą świetlaną u jasnego czoła
I spoczął aureolą nad skronią anioła!
Młodzian spojrzał... czy w cudne zapatrzył się lica,
Czy świętą mu wydała się biała dziewica,
Czy żalem za przeszłością jękła pierś złamana,
Bo nagle jak przed bóstwem pochylił kolana,
I łza błysła nad ducha odrodzin kołyską!...
Podniósł czoło... Już znikło czarowne zjawisko,
I tylko jakieś smutne pożegnania słowo
Przerwało dzikim jękiem tę ciszę grobową!...

Młodzian, jakby przykuty do ziemi, stał chwilę,
Potem nagle cię ocknął, uległ uczuć sile,
Spojrzał dziko w ponure smętnej nocy cienie,
Krzyknął głosem rozpaczy... i wybiegł szalenie!...

IV.

Na samotnym cmentarzu, wśród posępnej ciszy,
Gdzie ucho nigdy miejskiej wrzawy nie dosłyszy,
Stoi skromny grobowiec — wśród drzew gęstych cie-
[nia,
Bez czczych znaków pamięci, nawet bez imienia,
Tylko w dole... na krzyżu... jak przeszłości mara,
Błyszczy napis ponury: — *„Przesądu ofiara!“*

Antoni Pilecki.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— Tak jest, swobody serca! powtórzył Szambor i westchnął, a w tej chwili cień smutku przebiegł po jego twarzy.

Po niejakim czasie mówił dalej:

— Wy artyści jesteście szczęśliwi, że się już rodzicie z tą swobodą serca. U was jedne

ŚLADY ŻYCIA.

XXVII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Różne są przyjemności i rozkosze chwili obecnej. Łaskawe niebiosa, pragnąc osłodzić znojne życie śmiertelników, to spuszczają na ich skronie obfite strumienie deszczu, to odkrywają im łona ją gościnnej rzeki, aby tam orzeźwić i pokrzepić się mogli.

— Masz tobie, a to nudziarz jakiś, wiecznie o tem samem prawi.

— Łaski błagam, łaski!... szanowni panowie i nadobne panie! Rzeczywiście podnosić dwukrotnie jedną i tę samę kwestyję jest wielkim grzechem literackiego żywota, za który słusznie należy się surowa kara. Ale czytajcie dalej!.. może też i coś nowego znajdziecie.

Otóż wiadomo wszystkim obywatelom miasta Warszawy i przedmieścia Pragi, że kto chce użyć swobodnej kąpieli, nie zamkniętej w czterech ścianach brudnego omnibusu, lub, co gorsza, celkach, gdzie przestrzeń miejsca dozwala odbywać tylko pionowe ruchy z góry na dół, — musi przeprawić się na drugą stronę Wisły, w uroczej gondoli, która nie widziała nigdy syreniego grodu, lecz na sarmackiej powstała ziemi. Droga tu dwojaka: 1) stałym lądem czyli raczej mostem, 2) wodą. Pierwsza ma to do siebie, że zbawiennym wpływem słonecznych promieni zastępuje całkowicie kąpiel samą, oszczędzając tym sposobem od kilkogroszowego wydatku. Druga, daleko kosztowniejsza, zawiera również wiele przyjemnych rzeczy. Wsiadłszy do łodzi, znajdujesz się, czytelniku, w licznem nader towarzystwie, i egzystencyja twa ograniczyć się musi tak szczupłą przestrzenią, że potrzeba ci użyć całej sprężystości ciała, aby nie zbratać się z modremi falami rzeki, i nie narazić się na bezpłatną kąpiel, za co przedsiebiercy wiślani słuszną mieliby do ciebie pretensyję.

Otóż to są dzieje wędrówki do przybytków tej letniej rozkoszy. Jeżeli przytem mieszkasz gdzieś w odległej stronie miasta, to musisz zaiste długą i mozolną odbyć podróż. Ma więc Warszawa wiele dogodnych i tanich przyjemności i rozkoszy!...

Do rzędu tych przyjemności należy też ujmująca grzeczność pewnych indywiduów, których obowiązkiem jest z całą uprzejmością traktować interesantów. Mamy tu na myśli znaną już dobrze z oryginalnych wybryków kwaśnego humoru kasyjerkę, która oszczędzając zasoby galanteryi dla *pewnej* cząstki publiczności, resztę traktuje w sposób bezecny. W szczególniejszej niełasce u tej pani znajdują się kobiety, dla których ona widocznie wieczną nienawiść zaprzysięgła. Nie wchodząc bliżej w przyczyny tego faktu, zaznaczamy tylko że Zarząd Instytucyi winien zwrócić baczniejszą uwagę na oficyjalistkę swoję. Obowiązek zmusza nas stanąć w obronie płci pięknej grodu naszego.

Ale.... *a propos* tej ostatniej... będzie ona wkrótce unieśmiertelnioną w jednem z czaso-

wrażenia zacierają drugie, a pamięć wasza dopomaga wam do zapomnienia tego, co dla innych jest nieustającem źródłem boleści!

— Czyż to ma być takiem szczęściem ta swoboda serca, o której pan mówisz?

— Jest ona przecież jedyną sprężyną waszego życia!

Floryjan pokręcił głową.

— Przeciwnie — odparł po chwili — serce artysty potrzebuje wielkiej, wyjątkowej miłości... a jeżeli ją znajdzie, to miłość taka sprawia mu szczęście, o jakiem nie wszyscy mają wyobrażenie!..

Roześmiał się Szambor z goryczą.

— Mógłbym pana podejrzywać—odparł—że się chcesz ożenić!

— A gdyby podejrzenie pana było słusznem?

— To mógłbym się tylko litować nad panem!

— A gdyby właśnie ta litość ze strony pana była jedynem szczęściem mojem?....

— Nie wierzę, abyś na prawdę to mówił!

— Nie tylko mówię prawdę, ale nawet — Posłuchaj... Życie nasze jest ustawicznem pragnieniem szczęścia. Szczęście to głównie przedstawia się nam w postaci kobiety. Do niej wyciągamy ręce i za nią gonimy. Ale cóż się stanie z tem szczęściem, jeżeli zamiast kobiety wymarzonej uchwycimy kunsztowną szatę i maskę z gipsu?...

— Przecież jeżeli serce wybiera...

— Serce łudzi siebie i nas. Często widzimy w kobiecie to, czego później naprożno szukamy!

Szambor powstał tutaj i przeszedł się kilka razy po komnacie. Widać było po jego twarzy, że jakieś bardzo bolesne wspomnienia poruszały w tej chwili jego krokami. Floryjan domyślał się tych wspomnień i milczał.

— Nie wszyscy się przecież łudzą!—rzekł po chwili.

— Prawie wszyscy łudzą się!— odparł starzec impetycznie — ale nie wszyscy przyznają się do swoich rozczarowań! Zniżają co raz więcej swoje wymagania, a w końcu śmieją się tam, gdzieby płakać powinni!...

— Tylko bolesne doświadczenie może tak przemawiać!

— Nie kryję się z tem bynajmniej. Doświadczenia moje są bardzo bolesne, ubieliły mi włos i przygarbiły moje ciało do ziemi!

— Doświadczenia takie nie mogą być regułą życia!

— To prawda — ale wyjątki od tej reguły są tak rzadkie!

I głowa starca pochyliła się smutno na piersi.

Floryjan milczał czas niejaki. Rozmowa ta sprawiła na nim smutne wrażenie. Dziwnie odbijała ona od marzeń jego, z jakiemi tu przybył.

— Otóż dla tych wyjątków — rzekł po chwili — warto przecież sięgnąć po różę szczęścia.

— Ludziom zwyczajnym — odparł Szambor — wolno wszystkiego doświadczać, ale ludziom pańskiego zawodu nie wolno iść tam, gdzie doświadczenie innych iść nie każe!

— Miałżebym na zawsze wyrzec się szczęścia?

— Dla wyższego szczęścia trzeba się wyrzec zwyczajnego. Zostawmy je zwykłym robotnikom, którzy w pocie czoła idą krok za krokiem. Dla pana jedynem tylko szczęściem powinno być — majaczenie ideału! Za ideałem swoim powinieneś pan gonić bez ustanku, ale nigdy nie chwytać go! To utrzymuje polot wyobraźni, przyśpiesza bicie serca i stawia człowieka w rzędzie prawdziwych artystów, dla których ideał wyśniony jest zawsze niedoścignionym!...

Floryjan zwiesił głowę i zamyślił się.

— Uchwyć ten eteryczny ideał — mówił dalej ze wzruszeniem starzec — zatrzymaj się przy nim, a upadniesz z wysokości snów swoich, i staniesz się prostym wyrobnikiem!...

Floryjan chciał opiekunowi Salomei coś odpowiedzieć, gdy tenże nagle dłoń mu podał i dobrej nocy życzył.

Floryjan uścisnął podaną rękę i machinalnie za starym Szymonem, który szedł naprzód ze świecą — przebył kilkadziesiąt schodów i znalazł się nagle w swojej izdebce na wieży.

XXII.

Tak upłynął Floryjanowi dzień pierwszy, drugi i trzeci. Gospodarz był bardzo grzeczny, grywał z nim po kilka godzin dziennie, zapraszał go, aby dłuższy czas u niego pozostał, a jeżeli Floryjan chciał jakiem słowem dotknąć swojej sprawy, wpadał mu zaraz w mowę i wszelkimi argumentami zalecał mu tak zwaną swobodę serca.

Floryjan różnie o tem sądził. Z razu mniemał że opiekun Salomei chce go tym sposobem oderwać od marzeń, którym wcale niesprzyjał. Potem zdawało mu się, że to tylko zręczna próba, czy wytrwa do końca. A w końcu uwierzył, że ani jedno ani drugie nie wchodziło tu w rachubę, że poprostu wspomnienia bolesne starca wyciskały mu te słowa, dla sprawy jego wcale nieszkodliwe.

Mimo to wahał się przystąpić do rzeczy. Czy sądził, że czas stosowny jeszcze nie nadszedł, czy obawiał się odmowy, która dla niego tak wielkiej mogła być doniosłości — czy wreszcie komfort i dostatki, jakich teraz używał uśpiły w jego sercu na chwilę gorące pragnienie rozwiązania — dosyć, że trzy dni minęły, a z ust Floryjana jeszcze nie wyszło owo zapytanie, na odpowiedź którego tak niecierpliwie czekano w białym dworku i w całem miasteczku!

Mógł również inny być powód tej zwłoki. Rzucone słowa Szambora mogły trafić na grunt źle strzeżony, i tam rozkrzewić się w takie same ułudne kwiaty, które zazwyczaj, jak lud wierzy, rosną na „Omanie,“ czyli zagonie źle przy siejbie strzeżonym.

Szambor postawił mu przed oczy ponętny obraz gonitwy za ideałem. Jest to przecież niemała podnieta do życia — gonić swój ideał i tropić go w nadziei nieustannej!...

A ileż to przygód wydarza się wtedy?!.. Jak dziwny urok ma czasem żywot taki cygański? Zresztą może szczęście posłużyć, i człowiek ubije los wielki!...

Gdyby rzeczywiście takie myśli po głowie

---

pism humorystystycznych, które ukończywszy dziwnie dysharmonijną grupę znakomitości w dziedzinie nauki i sztuki, myśli teraz przejść na pole estetyki. Ciekawi też jesteśmy, jakiego rodzaju piękności kwalifikować się będą do tego zbioru, i gdzie.... w jakich sferach szan. Redakcyja szukać ich będzie. W każdym razie dziwny duch sceptycyzmu staje nam przed oczyma. Gdzież wy, urocze boginie, które zapragniecie unieśmiertelnić wdzięki swoje, przekazać je późniejszym pokoleniom na sławę wiekuistą. Czy wystąpicie z błyszczących przybytków bogactwa, czy z ciemnego pracy schronienia, czy może... Precz złośliwy demonie!...

Czy znacie pannę Agapitę, moją dobrą przyjaciołkę, któraby była istnym cudem natury, gdyby nie pewne drobne niedokładności kształtów twarzy i ciała, jakoto: nos, którego jej natura nie poskąpiła, bystre oczki, które zbyt żywo przypominały faworyta nadobnej dziewicy zgrabnego Filusia, a wreszcie usteczka, dla których matce-naturze zabrakło karminu, w zamian czego obdarzyła je nader wybitnymi kształtami.

Otóż nadobna ta dziewica rzekła do mnie z naiwną skromnością, która jej nigdy nie opuszcza.

— Panie Antoni, czy wiesz pan, że „Mucha“ ma zamieszczać wizerunki piękności Warszawskich!... Ciekawa też jestem, czy znajdzie się jaka dama, coby się chciała popularyzować. Ja bobym nigdy się na to nie zgodziła!

Rzekłszy to, panna Agapita zrobiła minę, która obudziła we mnie głęboką wiarę w prawdę słów skromnej dziewicy.

— A to dla czego? — rzekłem jedynie w celu, aby usłyszeć coś więcej w tej kwestyi.

— Piękność... Nie stosuję tego do siebie!

— O pani, zbytek skromności!...

— Dziękuję za komplement! — Otóż piękność winna kwitnąć w cichości, jak urocze kwiecie róży, której dosyć blasku słonecznych promieni. Czem słońce dla róży, tem miłość dla piękności!...

— A pani zaświeciło już w życiu to słońce?...

— Mówiłam przecież, tylko o pięknościach!

— Alеż słońce nie tylko róży przyświeca!

— Masz tobie, a tom palnął bąka, pomyślałem w duchu. Natychmiast jednakże poprawiłem się, i nie straciwszy na minie, rzekłem z emfazą. Zresztą w pięknym ogrodzie niewieściego świata, łaskawa pani, same prawie róże kwitnąć zwykły!

— Zdawkowy komplement!

— O pani!

— O panie!

Na tem skończyła się rozmowa nasza. Jakiż stąd sens moralny. Oto że panna Agapita grała tylko rolę skromności, i że prawdopodobnie takie panny Agapity będą najgoręcej pragnęły unieśmiertelnić się w „Musze,“ a prawdziwe piękności, przytem piękności z lilijowemi duszyczkami pogardzą może tą sławą. A kamelije!... O Mucho, do nich to poślij reporterów swoich.

Na zakończenie jeszcze jeden fakcik. Trzy są potęgi, które w dziejach ludzkości niepomierną grają rolę: 1) piękność, 2) mamona, 3) sława. Od pierwszej przejdźmy do dwóch ostatnich.

Floryjana chodziły, to przy nich mógłby zaiste zblednąć mały przedmiejski dworek — kamieniczka w rynku mogłaby ulotnić się — a nawet i Salomea rozwiała by się, jak mgła wiosenna przy promieniach słońca...

Dla gorącej wyobraźni, która ze szkodą innych władz i przymiotów duszy wybujała, byłby taki kierunek bardzo niebezpiecznym. Szczęściem jednak dla Floryjana, że kierunek taki niemiał w tej chwili żadnego przedmiotu przed sobą, a pamięć szczęścia, doznanego przy ostrokole białego dworku była jeszcze zbyt świeżą, aby z tem wszystkiem, co zaszło, nazawsze się ulotnić.

Salomea stała mu ciągle jeszcze przed oczyma. Gdziekolwiek spojrzał, widział ją wszędzie i słyszał nawet jej głos dźwięczny, jakim żegnała go tak niedawno!

Mimo to jednak nie mógł się zdobyć na odwagę, aby opiekunowi wyznać to, czem było zajęte serce jego. Odkładał to z dnia na dzień, a przy komforcie i dostatkach, które go teraz ota czały, dobrze mu było z tem wyczekiwaniem.

Wśród tego wyczekiwania, przychodziły mu wprawdzie do głowy niektóre słowa Szambora o swobodzie serca i nieustannem gonieniu za wyśnionym ideałem — ale słowa te, niepodsycone żadnem nowem zdarzeniem, bladły prędko na widok białego dworku, ogródka z topolami i kamienicy w rynku miasta powiatowego.

Floryjan postanowił słowa dotrzymać.

Piątego dnia po przyjacielskiej, długiej rozmowie z gospodarzem, wszedł do swojej izdebki. Szambor wiele z nim dzisiaj rozmawiał o różnych przygodach w swojej młodości. Przygody te były bardzo ciekawe i dziwnie ponętne światło rzucały na kobiety. Floryjan słuchał z uwagą tych przygód, a wyobraźnia jego wybujała dopełniła rysunku rozpoczętego ręką mistrzowską.

Wobec tych przygód życiowych przygoda jego w białym dworku tchnęła prawie prozą pospolitą. Wszystko tam mogło się ułożyć cicho i spokojnie, a za lat kilka siedziałby znudzony w szlafroku pomiędzy krzykliwem pokoleniem, któreby go nawet zrozumieć nie mogło!

Takie myśli przemknęły nagle po głowie Floryjana, gdy się ujrzał w swojej izdebce. Odpędził czemprędzej te myśli i już zabierał się do spoczynku, gdy nagle jakby gdzieś z pod ziemi usłyszał.... tony fortepijanu.

Floryjan otworzył okno — ucho nie łudziło go. Dosyć wyraźnie słyszał grę na fortepijanie.

Zkądże wzięła się ta gra? Szambor nie grał na fortepijanie, a w całym pałacu nie było nikogo, ktoby tę sztukę posiadał!... Nawet fortepijanu nie było w pałacu. Stał wprawdzie w salonie wyprawny, bogato rzeźbiony fortepijan pani Szamborowej, ale zaniedbany przez lat kilkanaście pofolgował sobie jak mógł najlepiej. Niektóre struny pospuszczał z kołków, a uporczywe potargał i na bok odrzucił. W takim stanie nie mógł on wydać z siebie żadnej melodyi — a przecież gra, którą słyszał w tej chwili Floryjan, nie zdradzała bynajmniej rozstrojonego instrumentu!...

Cóżby to mogło być?

Jeszcze raz przeszedł Floryjan w duchu wszystkie komnaty pałacu i wszystkich jego mieszkańców i nikogo nie znalazł, kogo mógłby posądzić o grę na fortepijanie.

Dziwnem mu się to wydało.

Gra na fortepijanie trwała jeszcze czas niejaki — potem zwalniał się powoli takt i w końcu w cichych szeptach jakiejś kołysanki skonał uroczo.

Floryjan słuchał i patrzał w noc ciemną, która za oknem izdebki rozszerzała się po całej ziemi — i prócz słabego światła latarni, nic nie mógł więcej obaczyć — nic nie usłyszał prócz skomlenia i naszczekiwania brytanów.

Z rozdrażnioną głową położył się spać.

Nazajutrz, gdy tylko stary Szymon z śniadaniem przyszedł, ozwał się z zapytaniem:

— Kto grał wczoraj na fortepijanie!

Szymon zmieszał się i spuścił oczy ku ziemi.

— Może się panu śniło! — odrzekł po chwili żartobliwie.

— Słyszałem wyraźnie — przecież sam pan nie gra na fortepijanie!

— Albo ja wiem, czy gra czy nie gra?

— Niechcesz mi prawdy powiedzieć!

— Na co mam mówić, jeżeli... nie wiem o niczem!

— Wykręcasz się kłamstwem!

— Czasem kłamstwo jest lepsze od prawdy! Ktoby tam na wszystko patrzał, co widzieć może — i wszystkiego słuchał, co może usłyszeć!

Szymon urwał nagle i wymknął się za drzwi.

Długi czas stał Floryjan w zamyśleniu. Zaczął słowa Szymona wykręcać na wszystkie strony i przyszedł w końcu do przekonania, że przypadkiem natrafił na jakąś tajemnicę domową, o którą niezręcznie służącego zapytał.

Dreszcz dziwny przeszedł po jego ciele.

Cóżby to mogło być? Przy dziwactwie Szambora wszystko jest możliwem.

Floryjan rozpuścił wodze wyobraźni swojej i zaczął szybkim krokiem chodzić po izdebce. W jego mózgu tworzyły się coraz nowe obrazy. Jedne były romantyczniejsze od drugich. Niezaprzeczoną już było rzeczą, że Szambor kogoś w swoim pałacu ukrywa. Stąd zapewne ten chłód przy pierwszem przyjęciu.

Lecz któż mógłby tu być?

Bądź co bądź jest to zawsze tajemnica domowa, do której nader ostrożnie zbliżać się trzeba... A może ta tajemnica pomoże mu do jego planów, z jakimi tutaj przyjechał?...

Tak myślał Floryjan i postanowił w tym względzie bardzo ostrożnie postępować.

Jeszcze przed obiadem zeszedł ze swojej wieży i starannie obszedł cały dwór do koła Nic tam nie było zagadkowego — prócz dwóch okrągłych otworów w ścianie, opatrzonych gęsto żelazną kratą. Mógł to jednak być jaki schowek gospodarski.

Przy obiedzie zapytał nieznacznie gospodarza o stan palisandrowego fortepijanu, który stał w salonie.

Otóż jeden z Rotszyldów w gronie wydawców naszych w pokorze ducha wyznaje przed publicznością, że wszelkie zasługi literackie i społeczne ustępuje bez żadnych pretensyj współpracownikom swoim, sam zaś zadawalnia się całkowicie tem, czem go za wieloletnią mozolną pracę niebiosa obdarzyły. Z faktu tego można wyprowadzić następujące wnioski: 1) że wydawcy przekładają złotego cielca nad laurowe wieńce, 2) że pierwszy drugiego nigdy nie nosi na skroni, 3) że goniąc za ostatnim trzeba się do pierwszego tyłem obrócić. O ludzkości! — jakżeż okrutne są prawa twoje! Satis!...

O ile główne place i ulice, pałace, kamienice i domy, grodu naszego stroją się w kwiaty, piękne drzewa, przyodziewają bieluchne sukienki, o tyle w dalszych a odleglejszych stronach jego wszystko w pierwiastkowym, niechlujstwa znajduje się stanie. I tak, pomimo upałów zwrotnikowych w miejscach jak *przy młynie parowym na Solcu* i *przykopowym od ulicy Leszna*, brodzić można po kolana... w błocie. Ulice niektóre mają już bruk żelazny, tymczasem przy ulicy Kaczej, Wolność w dalszym ciągu *Leszna*, *Muranowie*, *Krochmalnej* i t. d. jest bruk przypominający bajkę ludową.. o ciągnionym w worku do Nieba grzeszniku.

Kiedy zimą Nowy Świat, Krakowskie-Przedmieście, Miodową starannie uprzątają stróże i strażacy, w stronach tamtych mieszkańcy muszą brodzić w topieli, a już nie ma co mówić o przeprawie wozem. Pękają osie, łamią się wozy, trzaskają bryczki, z każdą chwilą rosną kupy zeskrobanego gnoju z lodem, tak że ze zbliżającą się wiosną z ulicy robi się wąwóz cuchnący, przez który prowadzi ścieżka podobna do *steczek wiejskich* między górami.

Ot np. na Krochmalnej, w obecnej porze bruk jest tak fatalny, że za każdem przejściem można naliczyć setki przekleństw, rzucanych na niegodziwe zabrukowanie, przez pieszych i pojezdnych. Wczoraj wywrócił się wóz z piwem — a co ludzi nóg nałamie. Co śmieszniejsze, parę tygodni temu, rankiem wczesnym zjawili się jacyś jegomoście, przeszli raz i drugi wzdłuż i wszerz Krochmalnej ulicy, pukali młotkami, mierzyli łokciami a potem oskardami poczęli w kilku miejscach zrywać bruk. Miejsc tych naliczyliśmy dziesięć. I co powiecie, owe kupki kamieni leżały przez cały tydzień, aż je wozy raz ruszyły a piesi usunęli. Koniec wszystkiemu. Jak przyszli tak poszli i nie pokazali się więcej.

Należałoby przecie coś postanowić, bo to punkt nadzwyczaj ruchliwy; tu stykają się wszystkie kommunikacye i na nóżki też naszych pań względniejszym być powinna Administracya, toż to nasze karmicielki, nasze opiekunki. Jeżeli one rozgniewają się na bruk niegodziwy — co będzie? Jeżeli dostawcy ciągle będą łamali wozy, czy nie zechcą nas wreszcie pożegnać?

Że promienie oświaty przedzierają się nawet do niskich chat, że nałogi, przywary i występki zarzucane klasom wykształceńszym, mają swoich przedstawicieli i w warstwach niższych ludności, przekona was fakcik świeży, prawdziwy, wydarzony przed miesiącem.

Gospodarz spojrzał z uwagą na Floryjana— potem uśmiechnął się cierpko i poszedł do salonu, aby na zrujnowanym instrumencie wziąć kilka akordów. Floryjan przestraszył się tych akordów, lecz były niezgodne! Akordy nasze brzmiały inaczej...

Floryjan chciał teraz okazać gospodarzowi swoje największe zadziwienie, gdy nagle spotkał się z jego wejrzeniem badawczem. Udał szybko obojętność, ubolewając że tak okazały instrument może tak mało mieścić w sobie harmonii!....

Gospodarz nic na to nie odpowiedział.

Wyobraźnia Floryjana zaczęła się coraz więcej rozpalać. Z kilku słów, rzuconych niedbale przez gospodarza, utwierdził się w przekonaniu, że wpadł na ślad jakiejś bardzo ciekawej tajemnicy.

Dzień zakończył się, jak zwykle, duetem, a wybierając się do swojej izdebki, wziął Floryjan z sobą wiolonczelę, aby za jej pośrednictwem dobić się do tak ciekawej tajemnicy.

I nieomyliło go oczekiwanie. Z ostatniem światłem, które we dworze zagasło, ozwał się fortepijan. Głos jego był czysty i pełny. Jakaś biegła ręka odegrała dosyć poprawnie — karnawał wenecki.

Gra ustała. Floryjan wziął wiolonczelę do ręki i zrazu cicho zaczął wygrywać waryjacyje na temat karnawału. Gra była nader charakterystyczną. Słychać tam było jak namaskaradzie zapytania masek i zadąsane odpowiedzi.

Ale na zapytania wiolonczeli nie odpowiadał fortepijan. Było cicho i głucho — tylko wymowne tony wiolonczeli rozlegały się po rosie jesiennej....

Floryjan niczego się niedo wiedział, ale wszedł już niejako z fortepijanem w pewien stosunek znajomości. Resztę odłożył na później — dosyć, że była rzecz dla niego bardzo ciekawa.

Nazajutrz nie wydarzyło się nic szczególnego. Szambor o fortepijanie nic nie wiedział, ale za to z pewną gorączką prawił mu morały o różnych złudzeniach, jakiemi umieją zawładnąć nad mężczyznami kobiety niebezpieczne. Ostrzegał go przed temi złudzeniami, które najczęściej są sztuką powierzchowną.

Floryjan słuchał cierpliwie tych ostrzeżeń rozgorączkowanego starca i uśmiechał się skrycie z jego taktyki tak źle maskowanej. Szambor widocznie miał kogoś na myśli, przed kim ostrzegał swego gościa — obawiając się jakiej szkody z jego strony. Gość domyślny nie dał jednak poznać po sobie, że go zajmuje domowa gospodarza tajemnica. W rzeczywistości zajmowała go ona więcej, niżeli to było w interesie białego dworku z ogródkiem i kamienicy w rynku.

Późnym wieczorem tego samego dnia, zaopatrzywszy się w różne sposoby przekupienia brytanów, spuścił się Floryjan z wieży, aby z dziedzińca usłyszyć grę na fortepijanie. Po krótkiem załatwieniu się z psami, które zdawały się strzedz tajemnicy domowej, wszedł pomiędzy akacyje, które przed samym dworem formowały klomb dosyć ocieniony.

Światła pogasły we wszystkich oknach dworu, i przez kilka chwil była wszędzie zupełna ciemność. Nagle jednak zabłysło różowe światło w jednym z okrągłych otworów ściany frontowej, a równocześnie odezwał się fortepijan.

Floryjan był teraz pewny, że w tych okrągłych otworach mieści się owa ciekawa tajemnica. Obliczył w głowie przestrzeń komnat i okien i przyszedł do tego przekonania, że owe okrągłe otwory dają światło skrytemu pokojowi, który graniczy z gabinetem samego gospodarza.

Prędko przebiegł w myśli ściany tego gabinetu. Przy jednej ścianie była szafa z taflą zwierciadlaną. Szafa ta ukrywała prawdopodobnie drzwi do owej tajemniczej skrytki.

Cóżby to mogło być? — pytał siebie po raz setny.

Zamyślony, z rozpaloną wyobraźnią wrócił na wieżę. Obraz Salomei w dzisiejszych snach jego spełz nieco...

Na drugi dzień, gdy Szambor po krótkiem kazaniu o złudzeniach, w różny sposób dokonywanych przez kobiety, zawezwał go do duetu — spostrzegł Floryjan, że przed rozpoczęciem gry nacisnął nieznacznie sprężynę w szafie zwierciadlanej, a szkląca tafla odchyliła się nieco od ram hebanowych.

Były to więc drzwi... a gospodarz odchylił je nieznacznie, aby znajdująca się za tymi drzwiami osoba mogła grę dobrze słyszyć...

Floryjan był już bliższym tajemnicy...

Wyobraźnia malowała mu te tajemnicę w kolorach jaskrawych, jakich nigdy nie miał biały dworek przedmiejski nawet po przemienieniu go w willę włoską...

Z całą energiją wziął się do gry — a gdy się duet skończył, Szambor ucałował go serdecznie i powiedział mu, że grał jak bóg grecki! Ukrytego uśmiechu nie widział Floryjan w tej chwili....

Wpadał w coraz większą gorączkę.

Tak przeminęło kilka dni! Fortepijan regularnie odzywał się późną nocą, a Floryjan odpowiadał mu z wieży, jak to pod wieżą czynił ongi Konrad Wallenrod.

Nieznana Aldona rosła w jego oczach w dziwną bohaterkę. Cóż ją tam mogło trzymać w tem ukryciu? Jak może ona wyglądać? Czy jest ona dobrowolną niewolnicą, czy trzymaną na żelaznej obroży?

Tysiączne takie pytania zaprzątały teraz głowę Floryjana. Był on jakby w swoim żywiole. Sytuacyja ta odpowiadała właśnie charakterowi muzyki, która nic wyraźnie nie mówi, a wszystkiego pozwala się domyślać!... A któżby chciał domyślać się złych rzeczy? Czyż nielepiej gonić złote urojenia szczęścia i rozkoszy, niżeli cierpieć pod ciężarem tej lub owej prawdy?....

d. c. n.

Rzecz się miała w ten sens:

Pewna panna, dajmy na to Z., sierota bez rodziców, zostająca pod opieką, jakiegoś tam dalekiego krewnego, posiadała funduszu rs. tysiąc i miała lat *siedmnaście*. Pewien młodzian 34-letni, imieniem Józef P. pracujący jako czeladnik w fabryce, znudziwszy sobie kawalerstwo, powziął zamiar ożenienia się i poprawienia sobie losu. Owóż tedy dziwnym zbiegiem okoliczności, poznaje pannę Z. i po krótkich preluminaryjach... żeni się, otrzymawszy na rękę rs. 500!

Sumka w to dzisiejszych czaszach wcale pokaźna. Zdawałoby się że, otrzymawszy taki fundusz, dobry rzemieślnik, byłby go albo umieścił na procent, albo też założył sobie jaki proceder. Pan P. tymczasem... puścił je na bawara! Pięknie ubierał żonę, zaczął jeździć dorożkami, jeść dobre obiady, palić smakowite cygara i grać hazardownie... w kręgle. Po trzech miesiącach miodowego upojenia — zbrakło groszy, a do roboty w białych rękawiczkach, w lakierkach i cylindrze iść niepodobna. Ale można odebrać drugą połowę posagu. Jakoż powtórnie 500 rubli schował do nosigrosza — żonie sprawił świeżą parasolkę, kapelusz — sobie parę pięknych koszul i... na nowo bawarye i restauracye obiegać zaczął. Żona, młoda osoba, zgadzała się na wszystko, smakołyki przyjemnie drażniły podniebienie, jazda dorożką i wycieczki pozamiejskie nadzwyczaj się podobały. Upłynęło tak znowu pół roku i sumka się ulotniła!

Źle, nie ma co jeść, za co hulać. Po smutnem doświadczeniu następuje żal i poprawa. Rozczulona małżonka przyrzeka pracą rąk własnych zarabiać na życie, mąż obiecuje udać się do fabryki. To był projekt wieczorny. Małżonkowie spoczęli w wzajemnym uścisku.

Nazajutrz... pan mąż... poszedł... na ryby! Zabrał wędkę i resztę grosza, biedna kobieta pierwszy raz cały dzień nie jadła!

Niezrobiła mu wyrzutu!

Pan P. stanął do warsztatu i jakoś po trosze, ściągał tygodniowo kilka rubli do domu — był to fundusz na hulanki niedzielne. W dni powszednie zasilano domową kasę ze sprzedaży fatałaszków dawnej świetności. Mąż przynosił w sobotę około pięciu rubli, codziennie marnowało się ubranie i sprzęty za *psie pieniądze*. Po miesiącu nie było w czem wyjść na ulicę, po dwóch na czem usiąść a na trzeci zbrakło nawet pościeli. Więc obelgi wzajemne, wyrzuty, płacze i żale. Rzucono się do pożyczek częściowych — więc zrobiło się dług we wszystkich sklepikach na całej ulicy a nawet jeżeli się dało i u kupców. Następnie żydkowie dodali trochę mamony, a w końcu przyszła wódeczka... jako jedyna pocieszycielka strapionych.

Przeszło to rok cały — oboje byli prawie nadzy i głodni, nie było o czem myśleć, należało się rozejść, aby się przynajmniej jedno ratowało od zaguby.

Ratunek, zjawił się w osobie Cioci przybyłej z daleka.. a pieniężnej.

Cóż się tedy robi. Pan mąż ukrywa pobyt jej przed żoną, wytęża wymowę przedstawiając stan swój nieszczęśliwy... z *niezaradną kobietą* i... cichaczem wziąwszy pasport... na skrzydłach pary ulatnia się z Warszawy.

OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

w XII i XIII wieku

szkicował
Ernest Świeżawski.

I.

Wojna niewieścia.

Śmierć pokutnika na tronie.

(ciąg dalszy)

Przez żonę, przyrodnią siostrę pierwszej żony Krzywoustego Zbisławy, spokrewniony Piotr Hugo, dwuimion Włostowicz, zwany Dóninem zajął z swą rodziną równie bliskie miejsce przy łożu swego księcia, jak niegdy blisko na polu bitwy przy nim będąc, dzielił laury i trudy jako ostatni komes palatyn, najwyższy po W. księciu urzędnik, jego zastępca w sądzie i boju, jedyny legalny po panującym „chorąży“ państwa, w razie jego nieobecności. Późniejsze podania zmieszały go z Piotrem Magnusem, który był wojewodą Kujaw i kasztelanem Kruszwicy około 1200 r., i synem Wszebora istotnie, który jak wiemy, z jednego aktu, był krewniakiem Włostowicza. Włostowiczowi dość na osobistej sławie. Wzrost olbrzymi i barki potężne wykazują, że nie czczą było powiastką, co mówiła o jego sile, że tęgiego chłopa, jak słabe pisklę, zdużać potrafił. Jednakże, czy podlegając wpływowi swego pana, czy własnym uczuciom,—i ten siłacz ma twarz jeśli nie ascetyczną, to przynajmniej pełną religijnego uczucia, którego dowiódł licznemi fundacyjami pobożnemi. Przy boku jego stoją: żona, wnuczka greckiej cesarzówny Barbary Aleksiejówny, Maryja, cna matka Świętosława-Idziego i Beatryksy, i tych dwoje ich dzieci.

Wtem—na znak dany przez Krzywoustego ucichły modlitwy; dźwignął się kojący grzesznik, i na chwilę błysnął, po dawnemu, orlim wzrokiem „syn Marsa“ i zagrzmiał po dawnemu „wezwać żupanów!“ Weszli a od szat ich rycerskich, purpurowych rozjaśniło się w komnacie. Na czele idzie stary Żelisław, dawny palatyn, wsławiony w bojach rycerz; złota ręka lewa, której do tarczy już użyć nie może, świadczy o jego męztwie i szczodrocie W. księcia. Obok zjawia się Rasław, krewniak Dóninów, pan na Piotrowie, Milejowie, i in. po którego śmierci bezdzietnej najmłodszy syn Krzywoustego odda to mienie cystersom w Sulejowie. Wszebór z synem Piotrem Magnusem, wszystko to „klejnotnicy“ (z łacińska), to jest spólnie używający rodowego „godła“ Dóninów Łabędź. Wszebór, także tu obecny niedługo palatyn młodszych synów Krzywoustego, należy do godła Strepy, a ród jego odpowiada na „zawołanie“ Lawszowa. Ród Grifitów krakowskich, zwołujący się okrzykiem „swoboda“ ma przedstawicielami Syrona czyli Żyrę, pana na Chełmnie nadwiślańskim, Kijach, Samagorzu i i., niezadługo wojewodę nowego księstwa Mazowieckiego. Towarzyszy mu syn Ottoi krewniak Sambor na Pomorzu osiadły, kędy do władzy zwierzchniej dążył. Największy poczet jest „Boleszczyców“ zwanych też Jastrzębiami, Łazękami, Kaniowami i t. d. stosownie do prowincyi, gdzie osiedli. Są to potomkowie drużyny rycerskiej Bolesława I, mimo różnicy pierwotnej pochodzenia, skupieni w jedną całość sztuczną, rycerskiem braterstwem, i tem samem godłem.

Zbieranina to z całego świata, ale wyborowa; wyposażani i ratowani, gdy klęski na nich przypadły, przez swego zwierzchnika; jako jego „poufni“ osiadali po zamkach, i biesiadami oraz podarkami lud za straty wojenne wynagradzali, i łowili może ponętą uwolnień od prawa ziemskiego do osiadania na pograniczach, dla obrony kraju.

Z tłoku duchowieństwa, niższego które z innemi świeckiemi u drzwi stanęło, naprzód dwie postacie się wysunęły. Kanclerz kujawski Michał, znany spółpracownik kronikarza Gallusa, dostarczający mu z archiwów państwowych, źródeł nieocenionej wartości, przystępuje do Krzywoustego, i z pod szat dobywa zwitek rękopisu dopiero co ukończonego. Za nim zręcznie przez drzwi się przesunął duchowny, z tuszą Sylena, a twarzą, którejby wyrazu niepowstydził się późniejszy tylu laty Machijawel.

To Mateusz, z rodu Cholewów, kanonik sto bnicki, przyszły dziejopisarz tych wypadków. Śmiało wmieszał się między dygnitarzy, i przystąpił do swego przyjaciela Piotra Hugona, by bliżej być czytać mającego pargamin. Nieznacznie wzrokiem porozumiawszy się z Władysławem, złośliwie spogląda Mateusz na Agnieszkę, która na szmer wchodzących z zadumy się budzi; znać szyderca przeniknął ducha tej kobiety, i mimo istotnego smutku, cieszy się naprzód z ciosu, jaki jej w swej pracy zada.

Bolesław dźwignięty z ziemi, na poły, sparł się na ręku niemieckiej hrabianki, aby wysłuchać własnych rozporządzeń testamentowych, i własnoręcznie z obecnemi przywiesić pieczęcie na znak potwierdzenia ich treści. Agnieszka mimowolnym ruchem przygarnęła troje swych chłopiąt, z których jednego wzrost bujny posłużył z czasem za przezwisko („wysoki“ Bolesław), drugi Mieszko kulał, trzeci Konrad miał wstąpić do klasztoru z czasem.

Wśród ciszy, ledwo oddechem drżących z niecierpliwości słuchaczy przerywanej, zaczął czytać Michał, na nowe wezwanie swego pana, ostatnią jego wolę.

W takowej, wspominał najprzód o przodkach Bolesława III i ich przewagach, jakich sława wraz z państwem tytułem dziedziczności na Krzywoustowiczów przechodząc, za wzór i bodziec do naśladownictwa im służyć miała. Przechodząc następnie do bliższego określenia stosunków między braćmi, zalecał Bolesław ustami Michała, aby „u starszego wiekiem władztwo prowincyi krakowskiej i zwierzchnicza powaga była. A jeśli zwykła dola człowiecza dosięże go, zawsze wieku przewaga i pierworodztwa mają spór o spadek załatwiać.“

Władysław prócz Krakowa, które dożywociem miał dzierży , dostał Szląsk w spadku, więc ziemię jeszcze za życia dziada, posiadaną przez ojca. Mieszko stary wziąść miał Po-

---

Mąż odjechał, żona została bez funduszu, bez odzieży, bez stosunków i opieki, młoda, przystojna, jakiż ją los czeka? Czyż możemy co dodać do tego wydatnego obrazku?

Chyba wskazawszy nań, jako na źródło, epidemicznie rozwijające... *prostytucyją* w naszej społeczności.

W dniu 29 z. m., w sali Resursy obywatelskiej odbył się *popis uczniów i uczennic Instytutu Muzycznego* i równie, jak lat poprzednich, wykazał wzorowe kierownictwo, spore zasoby artystyczne i nie mały postęp w dziedzinie sztuki.

W klasie fortepianu odznaczyły się znane już po części osobistości, a mianowicie pp. *Brykner*, *Pachulski*, panie *Łopuska*, *Buchart*, *Otasek* i *Mierzanowska*; w klasie skrzypców p. *Adamowski*. Mieliśmy też miłą niespodziankę, w kwartecie skrzypcowym, wykonanym przez cztery kobiety. Chóry, znajdujące się pod kierownictwem p. *Studzińskiego*, wykazały sumienną pracę tak uczniów, jak i nauczyciela. Całość urozmaicona była deklamacyją.

W dniu 30 z. m. o godzinie 2-ej z południa rozpoczął się akt uroczysty i popis uczniów w *Instytucie głuchoniemych i ociemniałych*. Dyrektor Instytutu p. *Papłoński* w krótkiem przemówieniu wykazał mozolną działalność nauczycieli. Następnie orkiestra, z ociemniałych złożona, wykonała uwerturę z „Hrabiny„ Moniuszki poczem wystąpiono do badania uzdolnienia wychowańców, którzy kolejno klasami produkowali swe umiejętności. Ociemniali popisywali się z biegłem czytaniem na książkach z literami wypukłemi: głuchoniemi z godną podziwienia biegłością z ruchu ust wyczytywali słowa mówiącego. Później nastąpiły chóralne i solowe popisy muzyczne. Wreszcie udano się do muzeum, do biblijoteki, drukarni, stolarni, tokarni i innych zakładów rzemieślniczych, i wszędzie można się było przekonać o zadziwiających postępach, jakie uczyniły te nieszczęśliwe istoty w różnych gałęziach pracy.

Bez wszelkich dalszych komentarzy podajemy naszym czytelnikom wyjątek z Kuryjera Warszawskiego z dnia 28 czerwca 1875 r. N. 139 z artykułu „Kronika zagraniczna.“

„*W Pomorzanach w Galicyi*, zmarły niedawno dziedzic hr. *Pruszyński*, posiadał bogate i dobrze uporządkowane archiwum rodzinne, zawierające wiele ciekawych aktów historycznych z XVI wieku a nawet i z dawniejszych czasów. Za życia niedozwalał on nikomu przystępu do tych zbiorów, a po śmierci jego *spadkobiercy sprzedali całe archiwum handlarzom na centnary, po pięć guldenów!!*“

Zachęcony świetnem powodzeniem, jakiego słusznie doznała Halka, p. *Grabiński* wystawił w *Tivoli* drugi utwór nieśmiertelnego mistrza — *Flisa*. Przyznać należy, że dzieło znakomitego twórcy znalazło przyzwoite dosyć schronienie w skromnem przybytku sztuki. Całość wyszła dosyć harmonijnie. Zwrócimy tylko uwagę dyrektora części muzycznej, że nie należy zmieniać właściwego tempa, psując tym sposobem w pewnej mierze efekt produkcyi.

P. *Fileborn* w tytułowej roli potwier dzi

znań i Gniezno; Bolesław Kędzierzawy odziedziczał resztę działu Zbigniewa, więc Mazowsze i Kujawy. Henrykowi ojciec oddawał część oderwaną od swego działu to jest Sandomierz i Wiślicę. W układzie tym uderzyła zebranych przewaga nadana Krakowu. Dotąd zarówno Kraków, jak Sandomierz, Wrocław, Płock i t. d., uchodziły za „siedziby książęce“ spółrzędne, i lubo z każdym podziałem kraju między synów władzcy ustępującego z tego świata, coraz nowe miasta zyskiwały znaczenie stolicy, jak np. za Bolesława II a może i jego ojca Kazimierza-Karola, tenże sam Kraków, za Władysława Hermana Płock mazowiecki, przecie dopiero teraz połączenie Krakowa dożywotnie z godnością W. księcia, nadawało mu pierwszorzędne stanowisko nie na czas jednych rządów, ale nawet na przeciąg całej dynastyi Krzywoustowiczów.

Mimo to, chętnie obecni dostojnicy duchowni i świeccy, za przykładem Krzywoustego, wyciskali sygnety na miękkim wosku, którym, sznurki u dołu rękopisu przeciągnięte, łączono. Odmienne uczucia odbiły się na twarzy głównych członków rodziny panującej. Agnieszka, słysząc rozporządzenie, które jej synom ledwo Szląsk zostawia, przeszyła wzrokiem nienawiści swą jątrew i dziewiérzów. Nieśmie jawnym gniewem wybuchnąć, i już teraz poszarpać testament umierającego, ale uścisk pełen miłości i żalu, jakim swe dziadki obdarzyła, przez kontrast do rzuconego dopiero co spojrzenia na rodzinę męża, odkrywa sprzeczne uczucia szarpiące dumnem jej sercem.

Dostrzegł Władysław gry tych uczuć w oku ubóstwianej małżonki, i ślepo kierując się jej wolą, już otwierał usta, by w ciężkiej walce posłuszeństwa syna i męża, uledz może ostatniemu uczuciu, i dać powód do takiego skandalu, jaki miał miejsce przy trupie dziada. Jeszcze Władysław Herman nie ostygł pod zimnem tchnieniem śmierci, a syn jego z „szlachcianki Prawdzicówny“ Zbigniew, że w dwużeństwie spłodzony, więc choć starszy, w dziale mienia i znaczeniu był porównany z bratem swym przyrodnim Krzywoustym, zamiast być jego zwierzchnikiem,—popadł z nim w spór o podział ziemi ruchomości. Waśń coraz wstrętniejsze rozmiary przybierała, aż nareszcie siwowłosy Marcin arcybiskup gnieźnieński obecny temu świętokradztwu, ledwie nieledwie zdołał kres mu położyć. Wszelako cześć dla ojca, miłość ku braciom jeszcze teraz przeważyła w sercu Władysława Krzywoustowicza; drżące usta z równem milczeniem zawarły się, jak przed chwilą otwarły. Łza, głuchym gniewem wywołana, zabłysła w oku Agnieszki, i mocny rumieniec wypiekł się na licu, na widok słabości męża.

Nie na tem jednak jeszcze skończyły się jej dzisiejsze utrapienia, bo Salomeja, niewidząc niemej sceny, jaka się odegrała między pasierbem a jego żoną, równie niemym uściskiem dłoni umierającego i ruchem prawicy wskazywała temuż niemowlęcego Kazimierza II, który u jej łona leżał spowity. Jakób-Lubomir, arcybiskup, nie zadowolony z nadania przewagi politycznej Krakowu, gdy jego Gniezno „matka wszech księstw lechickich“, jak w kilkanaście lat później rozumował sobie Wincenty Bogusławic, zostawało w cieniu, choć ubocznie rad był swe niezadowolenie objawić. Pośpieszył więc wytłomaczyć ruch hrabianki zapytaniem: „ażali w tej *czworokolnej* kolasie władzy, Kazimierz ma poprzestać na roli *piątego* koła“? Na to Bolesław odrzekł surowo: „Niech da pokój zarzutom, do nich *nieuprawniony*; o Kazimierzu (mówił nachylony ku żonie) dawno pomyślałem i dział mu przeznaczyłem. Słuszną zaś jest rzeczą, aby część małoletnich była oddaną w zawiadywanie opiekunów.“

To było nad siły Agnieszki; łza, którą małość dzielnic wycisnęła, wezbrała na tę groźbę jeszcze nowego ich uszczuplenia na korzyść niemowlęcia, i spłynęła po zbladłem licu zranionej do głębi „tygrysicy.“ Dojrzał tej łzy Bolesław, i już drętwiejącemi wargami, odchodząc od przytomności, jakby wróżbita szeptał: „Widzę z tej łzy poczęte rzeki, przeciwnemi wody bieg swój tamujące.... wyschną z nich jedne w najgwałtowniejszym wylewie..... “ Wtem zaczął konać.

Władysław z braćmi przypadł do łoża ojca, któremu wijatyk udzielano, gdy była wielka księżna z nową władczynią kraju, uderzone słowami umierającego, wzrokiem zdawały się mierzyć z siłami do zapowiedzianej walki. Chwilkę trwało to tylko, bo istotnie ukochany przez żonę Krzywousty ducha wyzionął w jej objęciach.

Żal niekłamany ogarnął wszystkich... W pół wieku później wynikłe sceny przy zgonie dziś w pieluchach zostającego Kazimierza, musiały i teraz zajść, ile że podstawą ich była taż sama co i teraz 1138, r. jeszcze pogańska żywość uczucia. Mateusz Cholewa pisze wyraźnie, że do jego czasów obrzędy pogańskie przy grzebaniu zmarłych bywały zachowywane. Nadaremno umierający spożywał po chrześcijańsku chleb na drogę wieczną, wbrew przekonaniu Słowian, że „wszystko z ziemskiem życiem się kończy.“ Zwyczaj dawny sprawiał, że „niewiasty i dziewice drąc twarz paznokciami, strugami krwi własnej się zalewały,“ składając tem pierwszą ofiarę pamięci zmarłego. Według innej powieści, dziewice włos tylko darły, niewiasty twarz sobie kaleczyły, a staruszki szarpały swe szaty. Niebrakło tłuczenia piersi pięściami, rąk spleskiwania, bicia o ściany głową tak, że ledwo nie pękała.

Złośliwe opowiadanie Mateusza Cholewy o losach Popiela II przekonywa nas, że nie brakło i innych obrzędów pogańskich przy śmierci Bolesława III. Nieznana bowiem Gallusowi postać Popiela II-go, spółrządzcy dwudziestu swych stryjów, których chce otruć na „stypie“ pogrzebowej za sprawą dumnej swej żony, w mitach i dziejach polskich nie ma podstawy, a psychicznie doskonale stosunkowi Władysława i Agnieszki do rodzeństwa odpowiada.

Dość zmienić mniemanych stryjów Popiela II na istotnych braci Bolesłowicza Władysława, a „niegodną trucicielkę i najsprośniejszą z kobiet“ nazwać Agnieszką po imieniu, aby prawdziwy charakter i dążenia dziejowe obojga małżonków odkryć w następnych ra-

---

zdamanie, jakieśmy powzięli o niepospolitym talencie tego artysty przy pierwszem wystąpieniu. W niższych tylko tonach za mało było właściwej modulacyi głosu i cieniowania. Za to niektóre dramatyczne ustępy porywały siłą i dźwięcznością śpiewu.

P. *Wierzbicka* również nie zawiodła naszych nadziei. Sympatyczny głos tej artystki nabiera zwolna coraz większej siły, co przy właściwej mu dźwięczności i wielkiej przytem dramatyczności doprowadzić może do niepomiernych rezultatów. Szczególniej podziwialiśmy zręczne nader a umiarkowane utrzymanie właściwej skali, bez niepotrzebnego nadużywania właściwej mu siły i wysokości. W skutek tego całość przedstawiała się równo i harmonijnie.

P. *Trojacki* ma w głosie wiele surowego materyjału, który przy należytem wyrobieniu może się dosyć pomyślnie rozwinąć. Dotychczas widocznym jest brak należytej giętkości głosu i pewna hropowatość śpiewu, zresztą przy długiej a sumiennej pracy, wady te z łatwością mogą być usunięte. Pan T. nie jest pozbawionym zdolności wokalnych, i to obowiązuje go do należytych studyjów.

P. *Kwieciński* z maleńką skalą głosu robił co mógł, ale nie wiele zdołał zrobić.

P. *Puchniewski* z wdzięcznej bardzo roli fryzyjerczyka wydobył wiele prawdziwie humorystycznych efektów i wykazał w tym względzie znane już zresztą niepospolite zdolności artystyczne. Zwrócimy mu tylko uwagę, że nie należało psuć komicznemi efektami poważnego nastroju w chwili, kiedy Franek śpiewa pieśń pożegnalną.

Chóry dosyć umiejętnie wykonały swoje partyje.

Operę poprzedziła dwu-aktowa farsa p. t. „*Bańki Mydlane*,“ w której odznaczyli się umiejętną grą pp. *Sikorski*, *Benda*, i *Kwieciński*, panie *Swaryczewska* i *Mirecka*. *A propos* p. *Bendy*. Nie wiemy, czy sumienny ten artysta zwrócił uwagę na uczyniony mu zarzut niewłaściwej dykcyi. W każdym jednakże razie czuć było mozolną pracę i usiłowanie nad usunięciem tej wady, i całość gry obok zręcznej charakterystyki, wyszła wcale dobrze.

P. *Solska* oddała swą rolę z nieznośną szarżą, co przekonało nas, że do charakterystycznych kreacyj artystka ta nie posiada należytych zasobów artystycznych.

P. *Urbański* przy szczupłych zasobach zdolności, łatwą rolkę swoją wykonał dosyć starannie.

W sobotę w *Tivoli* przedstawiano *Zbójców Szyllera*. Z góry byliśmy pewni, że zaprodukowanie genijalnego płodu wieszcza przejdzie siły artystyczne miejscowego personalu. I rzeczywiście oczekiwanie nasze spełniło się w znacznej części.

P. *Benda* z całą sumiennością natężał wszystkie zasoby swych zdolności, aby stanąć na wyżynie prawdziwej sztuki. Lecz szan. artysta nie weźmie nam zapewne za złe, jeżeli mu powiemy bez ogródki, że wziął się do rzeczy, do której trzykroć jeszcze spotęgowane jego siły artystyczne byłyby zbyt szczupłym zasobem. Daremnemi były mozolne usiłowania

dach rzekomej żony Popiela u Mateusza Cholewy. Równie też i opis stypy Popielowej, ma doniosłość satyryczną, zdradza niejako chęci i myśli najstarszej pary książąt z rodu Krzywoustego.

Rzekomy Popiel, namówiony przez żonę, kładzie się w łoże, udając chorobę, i każe wezwać przyjaciół aby rady lub pociechy udzielili. Każdemu po szczególe, a tajemnie przed drugiemi,udziela wiadomość o przyczynie i chwili swej śmierci, objawioną sobie boskiem zrządzeniem; niby wyłącznie jednego skrycie objaśnia; do was należy rozstrzygnąć kwestyją następstwa, ja memu losowi się poddaję, zadawalniając się tą pociechą z waszej strony, iż tak z waszej łaski stanę się nieśmiertelnym, jak od was wziąłem w darze władzę. Niebędzie mi się zgoła wydawało, że umieram, jeżeli waszą ku mnie obaczę przychylność, jeżeli z wami odprawię pogrzebową własną ucztę. Czegoż bowiem mogę umarły się spodziewać od tych, którzy żyjącemu tego samego odmówią?

Zaczem po odprawianiu obrzędowych płaczy, zabierają się do sutej biesiady, a gdy już winem rozpędzili żałość, prosi król Popiel, by doń się zbliżyli, by koleją przy nim spełniając roztruchany, łagodnie się pocieszali. Oświadcza, że życzliwe spełnienie jego prośby lekiem dla cierpień jego się staje, i że milej w wesołości kresu życia domierzać, jak go w smutku trawić. Cóż, o królowo, mówi, w żałosnych topniejesz płaczach, co się gryziesz strapiona? Lękasz się wdowieństwa? póki ci żyją, niewejdziesz w jego progi, owszem wśród tylu krewnych mnie tyleż razy powtórzonym ujrzysz..... Wreszcie powiada: wznosicie puhary, i swój podźwignę, abym was wszystkich pozdrowił, bym kolejno z każdym złączył się pożegnalnym całunkiem, by każden napił się tego boskiego napoju, przezemnie skosztowanego.

Był zaś złoty roztruchan, kunsztownie przez królowę udziałany, w któren wlana drobina trunku, po poważe go wypełniała. Gdy zaledwo do połowy było w nim cieczy, zdawał się być jej pełen, ile wzdętą na kształt pary. To też za najlżejszem z nozdrzy lub z ust tchnieniem, opadał. W ten szczególny puhar wlany jest napój śmierciodajny, przez tegoż samego gatunku podczaszynę sporządzony. Każdemu, kto miał pić po królu, kazano ów puhar do ust chorego przytykać, by zdrady niepodejrzywano, widząc że i król spełnia też samą czarę.

Sądzono bowiem, że wypija, nie zaś oddechem oddala, sztuką wypróżnia. Co było zaś jadowitego trunku w istocie nalano, musiał wysączyć ten, który po pocałowaniu Popiela, do ust mu puhar przysunął.

Stypa odbyta po zgonie Krzywoustego, a zastawiona i spożyta przez jego rodzinę i obecnych, w powyższy sposób,—zgonem spółbiesiadników otrutych się nieskończyła. Dział istotnego nieboszczyka szedł pod stół, nie zaś przed jeszcze żywego. Ale całe późniejsze dzieje nowej wielkoksiążęcej pary, okazują, że obraz Mateusza stypy Popielowej w szczegółach wykonania fałszywy, co do myśli zasadniczej tchnął prawdą. Pozbywszy się ojca przez śmierć naturalną, rada byłaby Agnieszka i braci mężowskich pozbyć się, zniweczyć wolę testamentową Krzywoustego, i tych na których korzyść ona się objawiła. Być może tylko możności brakło, aby psychologicznie wierny szkic Mateusza, urzeczywistnił się; aby chęć niekłamana obróciła się w czyn już 1138 roku. Dziejowo, wykonanie zamiarów ambitnych odwlekło się do późniejszych czasów.

Po stypie, zwłoki *tylko samego* Krzywoustego pochowano w grobach jego rodziny, ile się zdaje znowu pustych, lubo w Płocku umarł Władysław Herman, a może i spólnie otruci, syn wygnańca Szczodrego: Mieczysław, matka jego Wisława, babka Dobrogniewa Maryja (1087 i 9). Szczątków tych ofiar jednak nie było 1138 r., bo Pomorzanie w najazdach swych, przed 1127 pogwałcili je.

„Dobywszy z grobowców pozostałości moich przodków, mówił sam Bolesław Krzywousty do apostoła Pomorzan, Ottona z Bambergu—Pomorzanie czaszki porozbijali, zęby z nich dobywając, a kości po gościńcach porozsnuwali.“ Tak przynajmniej spółcześni żywociarze apostoła donoszą.

d. c. n.

Listy z praktyki nauczycielskiej.

II.

W liście twoim wyraźniej może, niż chciałaś, wyczytałam smutny wyraz rozczarowania i obawiam się, aby przy braku siły, twe podnioślejsze pojęcia o nauczycielstwie nie stały się dla ciebie jakąś obezwładniającą siatką, w której uwikłana mniej zdziałać możesz, niż inna, zaledwie w prostych zarysach pojmująca swe powołanie.

Szlachetne twe pojęcia, wymarzone bardziej niż oparte na prawdzie, przy wejściu w świat taki, jaki cię otacza, jeżeli nie zostaną stłumione, stać się mogą dla ciebie czemś podobnem do owej *niby poezyi*, w obec której świat wydaje się zły, pusty, życie dokucza, która zamiast przysparzać siły— odbiera ją i poza rzeczywistość unosi.

Pełna pięknych myśli, pragnąca znaleść kierownictwo na pierwszem polu doświadczenia, znalazłaś się w zawiłej plątaninie śmiesznych błędów, zdrożnych zboczeń i szumnych słów zarozumiałości nielogicznej, uwikłanej w przesądy. Sądząc, że stajesz się pomocnicą w dobrej sprawie, ujrzałaś, że masz zostać nakręconą maszynką, pozytewką w papuziej szkole. Czujesz się jak w lesie, nie umiesz sobie zdać sprawy z tego, co cię otacza —pojmuję to zupełnie. Tobie bo nie może pomieścić się w głowie, jakim sposobem osoba *tak światła* mogła nierozsądnie wychowywać córki,

Niestety! śmieszne głupstwa nie tylko dzieją się w komedyjach lecz i na świecie, w dzień biały; na świecie tylko rzadziej spotyka się fakta oczyszczonej, klasycznej głupoty. Bez-

---

widoczne tak w dykcyi, jak i w grze twarzy. Pierwsza obok zwykłej manijery, nie zdolną była do tytanicznych wylewów, płynących pełną lawą z piersi Franciszka; gra twarzy przedstawiła chaotyczne, bez należytej modulacyi skurczanie lub rozszerzanie muskułów. Nieestetyczne otwieranie ust w chwilach gwałtowniejszego szału bardziej jeszcze przyczyniało się do zepsucia efektu. P. B. powinien pamiętać, że do tak potężnej kreacyi jaką jest postać Franciszka, tylko bogato zasobni kapłani sztuki przystępować mogą, a mniej szczęśliwi ulubieńcy Melpomeny nigdy na tak wysokim szczycie artyzmu stanąć nie mogą. A parodyjowanie największych, że się tak wyrażę, świętości w dziedzinie sztuki jest grzechem nie do przebaczenia.

Z wybitniejszych postaci w sztuce, role *Karola i Amalii* wyszły stosunkowo najlepiej. Szczególniej p. G. przeszedł oczekiwanie nasze. Aczkolwiek grze szan. dyrektora wieleby zarzucić można, wszelako całość wyszła wcale dobrze. Bohaterski Karol był strasznie, że się tak wyrażę, utemperowanym, ale w ogóle nie zepsutym grą nieumiejętną. P. Gr. widocznie przystąpił do wykonania kreacyi z należytem poszanowaniem sztuki, starał się poruszyć wszystkie siły swego talentu. Wada dykcyi, wynikająca już widocznie z układu organów głosu, psuła nieco efekt gry. Wszelako wykonanie niektórych z końcowych scen doszło do wysokiego stopnia artyzmu.

Gra p. *Solskiej* była nierówną, w wielu miejscach prawdziwie artystyczną, w niektórych za słabą. Głos artystki nie wszędzie zdołał się nagiąć do należytej modulacyi. Za to gra twarzy w wielu miejscach była bardzo szczęśliwą. W ogóle Amalija stała o kilka stopni niżej od podniosłej wyżyny, na którą wzniósł ją genijusz twórcy.

P. *Sikorski* grą twarzy zanadto przypominał nam, że zwykła ona przybierać raczej komiczny, niż dramatyczny wyraz. Głos w niektórych tylko, bardzo nielicznych miejscach, drżał właściwem dźwiękiem, w ogóle zabrakło mu siły dramatycznej.

P. *Puchniewski* dziwnie zmodyfikował postać Śpiegelberga. Demoniczny duch tej postaci nie uwydatnił się zupełnie. W ogóle tego rodzaju kreacyje nie nadają się do charakteru zdolności artystycznych pana P.

PP. *Swaryczewski* i *Kwieciński* wywiązali się ze swych rólek bardzo przyzwoicie, a i p. *Zwoliński* niezgorzej.

Pan *Urbański* zacieniował postać Hermana zbyt blademi i pospolitemi barwami, aczkolwiek w wypracowanej starannie dykcyi znać było postęp widoczny.

W końcu jeszcze jedno słówko: „Biedny Kosterze, jakże ty nisko upadłeś. Gdzież duch dzielny, co cię ożywił? — Chyba zupełny brak odpowiedniego artysty, skłonił szan. Dyrektora do oddania tej roli p. *Cierpińskiej*, która jej zupełnie nie zrozumiała i wykonać nie była zdolną.

Liczne dosyć grono młodych, i jak słyszeliśmy wykształconych adeptów Melpomeny, zebrawszy się w Warszawie, udało się następnie do Łodzi i tam produkuje swe artystyczne zasoby pod dyrekcyją p. *Łuby*. Dano już kilka przedstawień, i dobór utworów przekony

sensa tu przyrośnięte są do rozsądku. Z jednej strony przedstawia ci się coś bardzo pokaźnie i po ludzku, z drugiej—znajdujesz brzydotę i nędzę—jesteś w kłopocie, jak naturalista przed istotą noszącą w sobie cechy rozlicznych stworzeń. Chcąc ocenić takie zjawisko, bierz cechy przeważne, patrz gruntowniej i przenikliwiej.

Byłoby to pustą deklamacyją, gdybym cię chciała zachęcać do przebudowywania uświęconego tradycyją ładu, pod przemożną władzą, którego znajdujesz się. Myśl taka przeraziłaby ciebie, a z mojej strony byłaby co najmniej niepraktyczną. Nie takiej to siły wiedzy i doświadczenia potrzeba, aby stanąć do otwartej walki przeciw przesądom, trzymającym się uparcie, bez racyi bytu, i utrzymującym salonową ciemnotę tam właśnie, gdzie światło najłatwiejszy powinno mieć przystęp. Przestań dręczyć się niepewnością, niech cię nie boli sprzeczność położenia z zasadami twemi, za to trzymaj się ich całą mocą, a nabierając coraz więcej doświadczenia, niedaj się uśpić i pociągnąć przyjętym porządkiem, lecz na każdym kroku, gdzie tylko znajdziesz wolny przystęp, wprowadzaj, bodajby w najmniejszych cząstkach to, co za dobre uznajesz, zapobiegaj brakom i zboczeniom. Nie kusząc się o całkowitą korzyść, niepodobną do zdobycia — nie pogardzaj małemi. Zamiast twej lękliwej wiary w tajemną doskonałość systemu swej przełożonej—bądź sobą, rozważaj własnym umysłem, co dobre popieraj całą siłą, złe naprawiaj choć już w skutkach tylko, niezrażając się słabością wpływu. Wpływ twój będzie słaby, praca niewdzięczna to prawda — ale owoce pracy w obec sumienia mierzą się trudnościami, jakie dla ich zdobycia przełamywać było potrzeba. W pracy takiej wyrobisz sobie siłę, nabierzesz doświadczenia, które później na żyzniejszej niwie tem korzystniej potrafisz zużytkować, im je mozolniej zdobyłaś. Nie ma tak złego położenia żeby w niem nie dała się odkryć dobra strona, nie trzeba tylko mierzyć go wedle naszych wymagań, przeciwnie, uznać prawdziwie, że takie a nie inne położenie musi być polem naszego działania.

Z samego tonu rad moich poznasz już, że w mojem usposobieniu jest coś podobne do łaskawości bogacza dającego złotówkę ubogiemu. Rzeczywiście mam na sumieniu niesprawiedliwość losu, który tak nie łaskawy na ciebie, uczynił mię prawie szczęśliwą. O ileż różne jest moje miejsce od twego! Tu inny świat, innem powietrzem oddycham.

Wiesz jak lubiłam zawsze prostotę, szczerość, dzień jasny, tchnienie pól i lasów, jak mię nękało zawsze zawiłe położenie, myśl niepewna i mglista, ciemna poezyja. Gorąco też dziękuję Bogu, gdy mię kanarek budzi o świcie za to, że wszystko mam, czego pragnęłam, a od czasu odebrania twego listu jedyną tylko smutną moją myślą jest myśl o tobie.

Przypominasz sobie, jak dziwną figurą wydał nam się p. Z., gdy staroświeckim koczobrykiem przyjechał zabrać mię do swego domu. Kuzyna jego dobrze mię znająca pośredniczyła w umowie między nami, a z nim samym niewiem czy kilkanaście słów zamieniłam przy pierwszem poznaniu i w czasie podróży. Zakłopotany był ciągle, ceremonijalny i niezgrabny, a choć przez całą drogę otaczał mię drobnostkową troskliwością i z każdego poruszenia okazywał się uczciwym człowiekiem, z prostackiej powierzchowności p. Z. nie mogłam nabrać korzystnego wyobrażenia o jego domu. Tem milszej właśnie doznałam niespodzianki dojechawszy do miejsca mego pobytu. Wydało mi się żem przyjechała do rodziny własnej. Cała familija p. Z. powitała mię na ganku wiejskiego dworu z radością i szczerotą staropolską. Pani domu, prawdziwa gosposia, zarzuciła mię pytaniem, dzieci witały mię jak dawno znajomą, ubiegały się pomódz mi w czemkolwiek. Brząkanie kluczyków, śmiech, gwar, wesołość zapanowała ogólna; ujrzałam się od razu u siebie, pełna wdzięczności i dobrego humoru, który zresztą nigdy mię nie opuszcza. Najstarsza dziewczynka w roztargnieniu, rozradowana biega, przygotowując dla mnie kawę, rozlokowuje moje rzeczy; matka posadziwszy mię obok siebie zapoznaje z dziećmi, chwali i gani swój domek, a synek jej najmłodszy dostaje się na moje kolana i gładzi mię po twarzy. Jedna z dziewczynek kotka mi swego pokazuje i cnoty jego wylicza, druga doniczkę świeżo rozkwitłej pelargonii przynosi, chwaląc się, że dla mnie umyślnie ją chodowała. Babunia nazwała mię wnuczką, mówi: patrzcie, zupełnie moja Mania!...

Tymczasem p. Z. przebrany z szat etykietalnych, przybywa w domowej kurcie i długich butach. Inny człowiek! Wesół, swobodny, uprzejmy, nawet jowialny. Droczy się z żoną opowiadając, jak to on bałamucił się ze mną, naśmiewa się z mej nieświadomości w rzeczach gospodarstwa. Teraz dopiero poznałam, że to nieoceniony poczciwy domator, którego prawdziwą wartość można dopiero ocenić w jego właściwem otoczeniu.

Najnieśmielszą ze wszystkich była najstarsza uczennica moja Helena, szesnasty rok licząca panienka. W zakłopotaniu nie wiedziała jak ze mną zacząć: jak z guwernantką czy jak z przyjaciółką? Siadała przy mnie, to znów uciekała udając pilnie zajętą; zaczynała mówić i nie kończyła, rumieniła się i uśmiechała, dopókim jej nie ośmieliła swą wesołością. Gdy już pierwsze lody przełamałam, gdym ją skłoniła do nazywania mię po imieniu: „wiesz Zosiu“ rzekła, „tyś się mi wyśniła—taką właśnie spodziewałam się mieć nauczycielkę.“

Tegoż dnia jeszcze poznałam cały skład domu, tak jak znam dzisiaj. Żadnych tu nie ma zagadek, szczerość panuje w postępowaniu i słowach.

— Niech się pani nie zgorszy nieuctwem moich córek, rzekła p. Z., gdyśmy przystąpiły do rozmowy o wychowaniu. Ze wstydem czuję że dziewczęta nic prawie nie umieją, że dziesięcioletni Kostuś uczący się u nauczyciela wiejskiego, występuje często między niemi jako powaga naukowa. Niemogliśmy jakoś dotąd dobrać nauczycielek. P. Rozalija więcej lubiała zajmować się gospodarstwem jak lekcyjami, a choć najlepsza w świecie osoba,

---

wa nas o sumiennem a poważnem traktowaniu sztuki. I tak w repertuarze za dni ubiegłe widzimy: „Szlachectwo duszy,“ Consilium facultatis,“ „Marcowego kawalera,“ „Polowanie na męża,“ słowem zasobną dosyć a pożywną ucztę artystyczną. Z grona artystów i artystek odznaczają się państwo *Mikulscy*, którzy debiutowali niedawno na scenie warszawskiej, pp. *Werner* i *Zbrożek*, artyści sceny poznańskiej. Słuszne powodzenie uwieńczyło już podobno sumienną pracę dyrektora i artystów.

Na popisie Akademii Sztuk pięknych w Petersburgu odznaczyli się i otrzymali medale dwaj rodacy nasi pp. *Ludwik Wiesiołowski* i *Wandalin Strzałecki*. Ostatni zaprodukował już na wystawie naszej drobny płód swej twórczości artystycznej. Drugi przygotowuje też stosowną pracę, którą niebawem zapewne ujrzymy.

Przechodzącemu obok kantorów loteryi klasycznej, w czasie ciągnienia smutny widok do smutniejszych jeszcze dumań się nastręcza. Tłumy pracujących ciężko robotników płci obojga, dopiero co wyszłych z fabryki, oblega tymczasowe tabele i chciwie szuka.... środka *łatwego, doraźnego* zbogacenia się. We Włoszech tombola dotąd przedstawia zjawisko, znane naszym ojcom i dziadom — loteryi liczbowej; która jeszcze prędzej pożerała zarobek oszczędności, albo pociągała służących do malwersacyj przeróżnych, byleby mogli stawić na wyśnione terna, kwaterna i t. d. Dziś *faire danser l'ance de la corbeille* należy do jednej z ciężkich danin, jakie pani domu, nie chodząca sama na targi, niechąca poznać ceny produktów i ich wewnętrznej wartości, musi spłacać służącym swoim. Za panowania liczbowej loteryi koszykowe przybierało rozmiary olbrzymie.

Dziś demoralizacyja mniej ma pociechy, choć i tak przykro pomyśleć, jak jest ogólną żądza bogactw bez zasługi i dorobku. Krzyczymy na żydów, że nas wysysają. Brzmią gazety krzykami na kulterrträgierów, że nas wydziedziczają, że się bogacą na naszej ojcowiźnie, gdy my żebrakami się stajemy u rodzinnego progu. Ale nikt niechce zważyć, że zarówno wykształcony jak prostak, czy to w loteryi czy inaczej, szuka innej drogi, jak ów żyd i niemiec, i dla tego dojść tam nie może, gdzie oni dochodzą.

Żyd trzy grosze zarobi — za grosz lub pół grosza zje, a resztę obraca, odkłada, kapitalizuje, i znów w ruch puszcza, ciesząc się ladą cebulą, solą, chlebem, i zyskiem drobnym ale częstym. Przychodzi chwila, że sumka urośnie do tej wysokości, w której postępuje prawo atrakcyi grosza do grosza.—Kapitał coraz szybciej rośnie, podwaja się i potraja. Z łapserdaka jak z gąsiennicy wyklucza się naraz nie motyl lekkomyślny, w zgodzie z historyją naturalną i słowiańską przyrodą, ale żuk pracowity, szajne morajne okazalsze od łapserdaka, ale równie zabiegłe, oszczędne jak tamten z odcieniem przyzwoitości niejakiej.

I ów niemiec co go to wczoraj przyciągnął tu pudel, a dziś w krześle siedzi
i zajada strudel

pracowicie zbija grosz do grosza, nie puszy się na dorobku, ale oszczędza i znoi tam, gdzie inni opuszczają ręce przyczczych skargach lub

niewiele podobno umiała. Potem mieliśmy w domu pannę Klotyldę, córkę podupadłej (bardzo pięknej rodziny), znanej nam dobrze. Czyż podobieństwem było pozwolić aby się męczyła pracą? Była tak słabego zdrowia, tak tkliwa! Gdy wyszła za mąż z naszego domu, ludzie namówili nas na szwajcarkę...

— Nie wspominaj tego licha, — przerwał p. Z. Dosyć mieliśmy wstydu na całą okolicę!

— Ot—koniec końców, tak się jakoś złożyło, że pomimo ciągłej niby nauki, dziewczęta nic nie umieją i w pani tylko pokładamy całą nadzieję. Ja, wyznam odrazu, mało się znam na nauce, uczyłam się niewiele a i tom zapomniała; to też na panią zdaje wszystko polegając na jej rozumie i sumieniu. W poglądach ogólnych nie różnimy się zapewne i we wpływie na dziewczęta nie staniemy zapewne nigdy przeciw siebie. Ja pragnę z nich uczynić dobre gospodynie, dobre matki i obywatelki. Niech mają zdrowy pogląd na życie i prawdziwy sąd o rzeczach, niech będą cnotliwe jak nasze prababki i o ile możność pozwoli światłe jak powinna być kobieta w dzisiejszych czasach. Niech nauka podniesie je w praktycznem życiu, rozwinie umysł i uszlachetni duszę.

W ciężkim kłopocie znalazłam się przy rozpoczęciu nauk, w nieraniejszym jak moje uczennice. Nieumiały prawie nic, choć znać było że się różnych rzeczy uczyły. Nie było ani książek, ani niezbędnych pomocy naukowych, gdzie tknąć przerażające braki i zaniedbanie. Dziewczęta zbyt zawstydzone były aby im jeszcze dodawać przykrości naganą. Ich że to wreszcie była wina? Nieład i najzupełniejsza bezmyślność panowała w dotychczasowym sposobie uczenia ich. Wszystkie trzy czytały licho, pisały bez ortografii, liczyły mechanicznie i błędnie. Uczono je słówek i rozmówek francuskich, gramatyki i katechizmu na pamięć zarówno, geografii jakiejś przedwiecznej, tak jak artykułów wiary bez map i objaśnień, bajeczek, przepisywania z książki, historyi podług jakiejś starej książczyny bez początku i końca, gam i walczyków na rozbitym fortepianie i t. p.

Poznałam teraz, że przyjęcie i ochota z jaką moje uczennice garnęły się do mnie, nie do nauki lecz do mojej osoby tylko się odnosi, bo czemże mogła być moja nauka w ich pojęciach? Jakąś bezsensowną banialuką, jakimś obrządkiem dziwnego nabożeństwa.

d. c. n.

PIERWOTNE JESTESTWA ZIEMI.

Pierwociny życia — Ziemia w postaci mgławicy — Stopniowe jej rozwoje — Trzy warstwy atmosfery — Temperatura — Walka wody z ogniem — Martwota w okresie pierwotnym — Epoka syłuryczna — Oceany dewonu — Flora węglowa — Porfiry i syenity permskie — Płazy okresu drugorzędowego — Wolcye i Haldingerye — Ammonity i bellemnity jurasu — Potworne jaszczury — Zamje — Olbrzymy krokodylowe — Polipy architektami pokładów ziemnych — Formacya jurasowa w Polsce — Utwór kredowy — Rozbójniczy Mososawrus — Wygląd ziemi w epoce pokredowej — Flora i fauna trzeciorzędowa — Nummulity — Kataklizmy potopowe — Epoka lodowa — Ślady istnienia w niej człowieka — Rozwoje życia w epoce diluwijalnej — Aluwium — Bohaterskie zapasy człowieka z przyrodą i jej tworami — Człowiek wychodzi z walki zwycięzko i zostaje panem ziemi.

Życie przejawia się w całej przyrodzie w rozmaitych, stopniowanych rozwojach. Wszelkie jestestwo, zwierz czy roślina, przechodzi z kolei fazy dzieciństwa, młodości i dojrzałości, po których następuje starość, wiek zgrzybiały. Podobnym fazom ulegała i nasza planeta, w całej zresztą naturze panuje prawo powolnych rozwojów. Dla ziemi naszej, jakkolwiek ta przyodziewa się corocznie wiosenną krasą, dawno już przeminął wiek młodzieńczy. — Nie możemy zaiste zaliczać jej do dziewic, ale raczej do poważnych matron, nie zapytujmy jej jednak o metrykę — byłoby to niedyskretnością, ba nawet ubliżeniem tem godniejszem potępienia, że popełnionem względem naszej własnej matki rodzicielki.

Odpowiednio prawu powszechnego ciążenia, ziemia w stanie gazowym krążyła około słońca, oziębiała się stopniowo, ustępując część swego cieplika przestworom, w pośród których odbywała w szlakach niebieskich wędrówkę. W skutek ciągłego wystygania, ta masa gazowa z biegiem czasu przetworzyła się w płynną, przyjmując w szybkim ruchu obrotowym stan kulisty — w skutek wpływu siły odśrodkowej na ową płynną kulę, nastąpiło wydęcie się jej przy równiku, a spłaszczenie przy biegunach. W ten sposób ziemia przyjęła postać elipsojdy.

Z tych względów pozostawiam geologom ocenę wieku ziemi, zresztą niedokładnie znanego — a natomiast zajmiem się zebraniem jej wspomnień z lat młodzieńczych, gdy strojna we wszelkie blaski wdzięków rozlewała dokoła czary zachwytu. Należy mi cofnąć się do pierwocin jej życia, a następnie rozpatrzeć w jego stopniowych rozwojach tyle ciekawych tak dla naturalisty, jak dla każdego poważniejszego myśliciela.

Czemże jest dziś nasza ziemia? oto gwiazdą wystygłą, ciałem planetarnem, wytworzonem z gazów zgęszczonych, początkiem z mgławicy. Poszukiwania naukowe okazały najwyraziściej gazowe pochodzenie ziemi. Ponieważ wszelki gaz zajmuje 1800 razy większą objętość od materyi jaką by przedstawiał w stanie stałym, wypływa ztąd, że pierwotna objętość ziemi dorównywała słońcu, które dziś 1,400,000 razy jest od niej większem.

Nie wszystkie przecież materye gazowe, stanowiące pierwotną ziemię przeszły w stan płynny — niektóre z nich zachowały swój stan lotny, i utworzyły atmosferę powietrzną. Czy to powietrze, różniło się od tego jakiem oddychamy? Niewątpliwie — owoczesna atmosfera naszej ziemi rozpościerała się w dalekie przestrzenie, dosięgała prawdopodobnie księżyca, a obok tego przerywaną była ogro-

---

projektach, i *słusznie* potem mówi o swej wyższości giermańskiej nad słowiańską. Bo powodzenie zakłada na pracy, na dorobku w pocie własnego czoła, nie na hazardach ślepego losu, lub na przedsiewzięciach, które może dowodzą dużo serca, dużo dobrych chęci, ale zarazem zdradzają, że jeszcze w głowach zielono a w dzióbku żółto,— że przed strojeniem się w amerykańskie wynalazki społeczne, w filozoficzne pomysły Zachodu należy wziąć pracowitość Zachodu za wzór i godło.

Pracuj nie dla popisu, ale pracuj w poczuciu rozumnie pojętych obowiązków dla siebie i ogółu; pracuj nie na dziś tylko, ale na jutro i pojutrze, — stawiaj dzisiejszy zarobek nie na omylny numer loteryi, ale na książeczkę kasy oszczędności, stawiaj swe życie nie na loteryją heroicznych czynów, ale kładź je w obrożę *codziennych*, koniecznych i zbawiających jedynie obowiązków—a zbogacisz się jak żyd, jak niemiec. Stosuj środki do twej możności, i wbrew Adamowi, który rzekł w „Pieśni filaretów“

Cyrklu wagi i miary
Do *martwych* użyj brył
Mierz siłę na zamiary
Nie zamiar podług sił

chciej zawsze tylko to, co możesz, ale wciąż łaknij. Bądź jak owo pisklę, co coraz silniej jeść woła, a choć mu jadła dodają to nie uspokoją tem jego krzyku, lecz owszem wzmogą i krtań i głos jego. Ciągle mierz zamiary wedle sił twoich, i powiększaj pierwszych sferę wedle przyboru i rozwoju drugich, a nie będziesz wyglądał od ślepej loteryi nagłego zbogacenia, bez trudu, bo sam się zbogacisz, jak biedny pluder lub też łapserdak. Zwyciężysz go, bo mu odbierzesz sprzymierzeńca najsilniejszego we własnej niedbałości i nałogu tradycyjnym.

Czytamy w Wieku: Niedawno odbył się we Lwowie pogrzeb arcybiskupa obrz. ormiańskiego, ks. Grzegorza Szymonowicza. Już od godz. 9 rano, na którą to godzinę zapowiedziane było przeniesienie zwłok do kościoła, ulica Ormiańska roiła się od publiczności. Nabożeństwa żałobne trwały aż do godziny 1 z południa, i dopiero o tej porze wyruszył kondukt pogrzebowy na cmentarz. W kościele miał mowę ks. Aksentowicz. Trumnę wieziono, a za nią postępowali kapłani wszystkich obrządków, mając na czele swem infułata ks. Morawskiego. Publiczności szło wprawdzie za trumną nie tyle, ileby się spodziewać można, a to dla ogromnego gorąca, w pootwieranych jednakże oknach i u bram domów widziano mnóstwo publiczności, czekającej na przechodzić mający kondunkt.

Gazeta Polska w korespondencyi z Wołynia, pomieszczonej w N. 124 podaje, że biblijoteka w Woronczynie (na pograniczu powiatów łuckiego, kowelskiego i włodzimirskiego), prócz pysznych edycyj klasyków i dzieł ważniejszych z XVIII i początku XIX wieku, kronik pism peryjodycznych warszawskich w kompletach z drugiej połowy XVIII wieku, posiada kilkaset broszur rzadkich treści politycznej, w nieprzerwanym ciągu idących z w. XVI, XVII i XVIII, po większej części drukowanych w Krakowie.

mną ilością pary wodnej, która z czasem miała wytworzyć dzisiejsze oceany.

Wysoka temperatura owej atmosfery, dochodząca przynajmniej 2000 stopni ciepła termometru Cels. i olbrzymie ciśnienie barometryczne tego kolosalnego słupa powietrzni nie dozwalały naturalnie na żaden rozwój życia.

W atmosferze tej obok azotu, tlenu, kwasu węglowego i pary wodnej, utrzymywały się chlorki metalów i alkalii, siarczyki, a nawet związki krzemionki, glinki i wapna, które układały się odpowiednio do swej ciężkości gatunkowej.

Pierwszą warstwę powietrzną, najbliższą powierzchni ziemi, tworzyły ciała najcięższe, jak platyna, miedź, żelazo, pozostające w stanie lotnym — wyżej unosiły się chlorki metaliczne i alkaliczne, chlorek sodu czyli sól kuchenna, siarka, fosfór i związki ich gazowe. Trzecią wreszcie i ostatnią warstwę powietrzni, składały tlen, azot, kwas węglany i para wodna. Te trzy pokłady atmosfery, nie utrzymywały się przecież niewzruszenie, lecz z sobą wzajemnie mieszały w skutek straszliwych huraganów, często sprowadzających chaos na owoczesnej ziemi. Gwałtowne burze, przerzynane piorunami, zakłócały pokój naszej planety, ciągnącej w przestwory płomienistą smugę gazów, które wraz z powierzchnią ziemi utracały w nich zwolna ciepło — z biegiem też czasu kula ziemska przechodzi w stan grzęzki, prowadzący do jej zeskorupienia.

Z połączenia się z sobą ciał stałych powstaje wreszcie skorupa ziemska, nabywająca coraz większej grubości. Skorupa ta, dziś blisko 8 mil mająca grubości, była wówczas niewiele spójną, ztąd też potoki materyj płynnych, w nich zawartych, przy współdziałaniu gazów, posiadających prężność niepospolitą, przebijały tę powłokę i wydźwigały na niej garby górskie. Wyrzucony z owych czeluści granit zastygał na powierzchni ziemi. W ten sposób formowały się góry i żyły kruszcowe.

W skutek tych czynników zmieniała się pierwotna postać ziemi — nie stanowiła już ona równej okrągłej kuli, lecz przedstawiała wyniosłości i rozpadliny, góry i doły. Obniżona znacznie temperatura ziemi, nie może już utrzymać potężnej masy wód, pływającej w stanie pary w atmosferze. Para ta zmienia się w płyn i wyrzuca deszcze, — będące wrzącymi potokami, gdyż wody zgęszczone pod gwałtownem ciśnieniem atmosfery, ogrzewały się do 100 stopni Cels.

Pierwszy deszcz — to nowa era w dziejach tworzenia się skorupy ziemskiej. W rzeczy samej, te potoki wody, spadając na rozpaloną powierzchnię naszej planety, zmieniały się natychmiast w parę, zabierając jej cieplik, a tem samem wpływały na wystyganie tejże skorupy. Z kolei para wodna, oziębiona w przestworze, skraplała się i wyrzucała wodę w rzęsistych ulewnych strumieniach, o których dzisiejsze deszcze nie mogą nam dawać nawet słabego wyobrażenia. Jak widzimy, zawiązała się wtedy walka międz y dwoma żywiołami, międzyogniem i wodą a walce tej towarzyszyła straszliwa kanonada artyleryi piorunowej. Woda po uporczywych zapasach odniosła wreszcie zwycięstwo i objęła ziemię w posiadanie W ten sposób powstały pierwsze oceany.

Przejdziemy do przeglądu skał, tworzących skorupę ziemską, aby poznać reakcyje chemiczne wód wrzących, które zalewały ówczesne lądy.

Opoką, na której spoczywają warstwy ziemne, jest granit, będący połączeniem krzemianów glinki, potażu i sody. W granicie odróżniamy trzy główne jego składniki: feldspat, kwarc i mikę. Gorące deszcze, spadając na skały granitowe, kruszyły krzemiany, złożone z feldspatu i miki i wytwarzały ławice gliny i piasku kwarcowego. W ten sposób powstały pierwsze osady, wyformowane przez morze. Gliny, pochodzące z rozkładu skał feldspatowych i mikowych, zaczęły się z sobą mieszać w skutek wysokiej temperatury, przyjęły wreszcie postać w pół; krystaliczną. Wówczas to wytworzyły się pierwotne osady, spoczywające na granicie, osady glinowe i łupkowe.

Pierwsze morza były rozległe, lecz nie głębokie — pierwsze lądy, wyformowane z granitu, tworzyły wyspy na tych morzach, przesyconych cząstkami stałemi.

Po długim upływie wieków, skorupa ziemska powiększyła znacznie swą grubość, nieprzedstawiającą przecież jeszcze dostatecznego oporu gazom, we wnętrzu jej zawartym, które często rozdzierały jej powłokę.

Masy osadowe, wypchnięte z łona ,wód, wyformowały wówczas góry już nie z granitu złożone lecz z łupków. W warstwach utworu pierwotnego niema żadnych szczątków jestestw organicznych, gdyż życie niemoglo się jeszcze przejawić na rozpalonej powierzchni naszej planety.

W pierwotnych warstwach oprócz granitu spotykamy się z gnejsem (odmianą granitu, w której przeważa mika) z łupkiem mikowym i chlorytowym. Pokłady te natrafiały w Owernii, Wogezach, Cewenach, Saksonii i Szwecyi, obfitują one w żyły kruszcowe srebra, miedzi, cyny, żelaza, oraz w drogie kamienie, jak korund, rubin, granat i t. p.

Alpejskie łupki chlorytowe obok tych metalów zawierają w sobie złoto, platynę i niangan.

W ciągu okresu pierwotnego temperatura ziemi była wielce wysoką, powstrzymującą tem samem wytwór życia. Gęste mgły zaciemniające atmosferę, otaczały kolebkę świata, a przez nie: niemógł przedrzeć się ani jeden promień słoneczny. Noc, cisza grobowa panowały wówczas na ziemi, Wybija wszakże pierwsza godzina nowego okresu zwanego *przechodnim.* Częste i ulewne deszcze coraz więcej oczyszczają powietrznię, a słońce obdarza ją ciepłem i światłem.

Z naturalnego porządku rzeczy wynika, że pierwej ukazały się na ziemi rośliny niż zwierzęta, będące już wyższem ogniwem w hierarchii jestestw organicznych. Bogate pokłady węgla dziś eksploatowane są świadectwem przepysznego rozwoju owoczesnej flory. Z roślin przejawiły się najpierw wodorosty, następnie skrzypy, widłaki i paprocie.. Pierwsze twory zwierzęce zrodziły się w morzach —

Jest tam zbiór rękopisów, jak naprz. Statystyka powiatu Włodzimierskiego 1726 roku pana Chodakowskiego-Czarnockiego, po Krasickim pierwszego zbieracza literatury ludowej u nas. Biblijoteka owa posiada też jego rękopis o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej, wydany w Krakowie przez Helcla, i spis alfabetyczny nomenklatur miejscowych p. t. *Stare sta* (t. j. starostwa, które uważał ów badacz za ślad pogańskiej organizacyi społecznej. Istotnie ślad *setek* znajdujemy w dyplomatach łacińskich naszych).

Biblijotekę tę obecnie przywieziono do Milanowa, w Siedleckiem, dóbr hr. W. Czetwertyńskiego, gdzie ją porządkują, powiększają i katalogują.

Miejsce obecnego jej pomieszczenia dla uboższych badaczy nie jest bardzo dostępnem, gdyż dojechać dopiero byłoby potrzeba. Wszelako prawdziwa chęć studyjowania przeszłości z pewnością ich niepowstrzyma, od podjęcia i kosztów, byleby bezpośredni dozorcy biblijoteki weszli w dobre chęci rzadkich u nas bardzo historyków, i niestawiali im tamy w ich cennych dla nauki, ale niekorzystnych materyjalnie poszukiwaniach.

Parę słów o Towarzystwie Opieki nad... ludźmi! Nie jednemu zdarzy się zachorować na ulicy. Skąd prosty wniosek, że jeżeli koń, osieł, wół, kot a nawet pies, ogólnej używa sympatyi, człowiek nie może być narażony na leżenie w rynsztoku, jak zwierz lub domowe bydlę!

Było to niedawno, na trotuarze ulicy Miodowej, obok gmachu Paca, leżał jakiś rzemieślnik, mając skrwawioną twarz. A nad nim z pękiem kluczy w ręku stał człowiek i odpychał zbliżających się.

— Co to takiego!

— Pan widzisz, człowiek—powiada ów jegomość.

— Ale dla czego leży ten człowiek?

— Bo mu się widać stać nie chciało, mówi *stróż.*

— Chory?

— Kiedy nic nie mówi.

— Ależ to trzeba zawołać felczera, lekarza lub odwieść go do szpitala, woła roztkliwiona panienka.

— Furda, mości dobrodzieju. Zawołać felczera niema po co, bo kiedy się *nie tłucze* o bruk to mu nic nie jest; jakby był lekarz, toby znowu nie potrzeba było felczera a odwieść do szpitala, *bez pozwolenia,* nie można.

— Wasan kiep jesteś! — krzyknął siwawy pan. Zaraz mi idź po dorożkę.

— A kto mi zaręczy za bezpieczeństwo tego człowieka? mówi dość hardo *stróż.* Może ma przy przy sobie znaczną summę, może listy jakiej wielkiej wartości.

— Idź mi natychmiast!

— Nie pójdę. To *wielka choroba*! Poruszać nie można.

— Któż ty jesteś?

— A pan?

— Ja obywatel.

— A ja więcej jak obywatel — bo stróż.

Na czemby się skończyło, trudno przewidzieć, bo *siwy jegomość* nacierał ostro, filozof bronił się dzielnie, ale przecie stójkowy poło-

należą one do mięczaków z rzędu Ramionowców (Brachiopoda) i raków pancernych (Thoracostraca), do których zaliczamy Trylobity.

Okres przechodni dzieli się na trzy epoki; *Syluryczną, Dewońską* i *Węglową*.

W sylurze ziemię zalewały morza, blade promienie słońca przedzierały się z trudnością przez ciężką i gęstą atmosferę — w wodach żyły mięczaki i zwierzęta stawowate. Z raków pancernych rozradzały się *krewetki, komary* i *kraby*. Trylobity przedstawiały się w postaci owalnego puklerza, złożonego ze stawów. Z tych w najwięcej wysuniętym ku przodowi, mieściły się oczy zapewne siatkowate prawdopodobnie jak u owadów, a przed o czyma wystawała jama ustna, nogi były mięsiste i liczne. Z mięczaków wymienić mi wypada bezgłowe, zwane *orthonata*; ze zwierzo krzewów rodzaj *hemicosmites*; z roślin morskich krzewiły się *Buthrotephis, palaeophicus* i *Sphenothallus*. To flora i fauna syluru dolnego; w wierzchnim zaś przejawiają się już ryby, przybywa mnóstwo gatunków trylobitów, a z roślin morszczyny skórzaste (Fucoideae).

W epoce sylurycznej morza pokrywały prawie całą ziemię. W Europie cały płat lądu, ciągnącego się dziś od Hiszpanii do gór uralskich, pozostawał pod wodą, z łona której wydźwignęły się tylko dwie wyspy granitowe; Bretania, złączona z Wandeą i środkowe wielkie, płaskowzgórze. Część północna Norwegii, Szwecyi i Laponii Rosyjskiej, tworzyła naówczas ląd szeroki. W Ameryce północnej rozciągała się rozległa wyspa, stanowiąca dziś *Nową Brytanię* i druga jeszcze szersza, w miejscowościach stanowiących obecnie Kalifornię, Utah i Oregon. W południowej Ameryce, Chili przedstawiało się również w postaci wyspy na oceanie Spokojnym. Na Atlantyku część Brazylii pomiędzy 10 a 30 stopniem szerokości jeograficznej, wznosiła się po nad wodami oceanu. Wreszcie w okolicach równika, Guyana tworzyła ostatnią wysepkę na rozległem morzu zalewającem wszystkie inne części lądu.

Polska w epoce sylurycznej, nurzała się w topielach wodnych. Warstwy tego utworu znachodzimy nad Zbruczem na Podolu. Łupek szarogłazowy tej formocyi tworzy góry *pieprzowe* okoro Sandomierza i ciągnie się od Bodzentyna do Nowej Słupi w okolicach Klimontowa i Miedzianogóry. Zresztą sylur napotykamy w Rosyi od Ładogi do Uralu, w księstwie Walii w Anglii, w Niemczech nad Renem, w Czechach, w tak zwanych Alpach Styryjskich, i w wielu innych miejscowościach.

W epoce *Dewońskiej* rozległy ocean rozpościera się na powierzchni ziemi, tu i owdzie widnieje kilka wysepek, pełzają mięczaki i zwierzęta stawowate. Oto na brzegu widzisz rozciągnięte cielsko jakiejś olbrzymiej ryby pancernej, a dalej wyspę zarosłą krzewami asterofilij (Astero phyllites coronata) i roślinami trawiastemi, podobnemi do mchu, chociaż tenże później się przejawia.

Roślinność to jeszcze uboga — drzew w lasy rozrosłych brak całkiem, same tylko asterofilje wznoszą ku niebu swe łodygi giętkie i wysmukłe. Blade promienie słońca, nie mogą wpływać na doskonalszy rozwój życia, w Dewonie krzewi się też jedynie licha tkanka komórkowa najprostszych roślin. Skrytopłciowe o których nasze grzyby mogą nam dawać zaledwie słabe wyobrażenie, stanowią znakomitą większość w tej florze. Asterofilije należały do rzędu roślin dwuliściennych (Dicotyledoneae) a tem samem do rodziny obejmującej dziś drzewa szyszkowe (Coniferae) i sagowce (Cycadeae). Iglicowe liście asterofilij, rozchodziły się promienisto od środka, na baldaszkowych gałązkach. Na wodach dewońskich rozrastały się morszczyny i trawa morska. Rzućmy okiem na faunę tej epoki. Na pierwszym planie przejawiają się ryby pancerne, zwane kostołuskiemi (Ganoidei).

Z pomiędzy tych ryb odróżniał się gatunek zwany *pterychtys cornutus* wielce dziwacznego kształtu. Ciało tej ryby przyodziewała tarcza z kilku części złożona a dwie płetwy w postaci skrzydeł, mieściły się po bokach bardzo maleńkiej głowy.

W Dewonie napotykamy też zwierzęta robakowate zwane *Rwiówkami pierścieniowatemi* (Annolides tubicoles) opatrzone skorupiastemi pokrywami i mnóstwo Trylobitów i ramionowców najrozmaitszych gatunków. Z promieniaków odznaczają się tu przedziwnym rozwojem *krynoidy* a mianowicie gatunek: *Cupressocrimes crassus*. Przytwierdzone do ławi nurzających się w falach morza enhryny z rozwartemi usty czyhały na zdobycz podobne do krzewów skamieniałych.

Utwór dewoński składa się z łupków, piaskowców, marglów i konglonceratów czyli zlepieńców. W Anglii znachodzimy piaskowiec czerwony i szaro-głazy często natrafiane w Niemczech. Formacyę dewońską napotykamy we Francyi, Belgii, Niemczech, w Hiszpanii, Rosyi i Ameryce. Pasmo naszych gór Świętokrzyzkich, tudzież wzgórza rozpo starte między Chęcinami, Bodzentynem, Kiel cami, Iwaniskami i Łagowem do tegoż utworu należą. Drugi płat Dewonu ciągnie się od Miedzianogóry przez Kielce do Porębki. Trzeci od Psar i Bodzentyna do Czadnowa i Waśniowa.

Skąd pochodzą olbrzymie pokłady węglanu wapna, cechujące tak epokę syluryczną jak i dewońską? oto kwestyja wymagająca objaśnienia. W pierwszych wiekach tworzenia się skorupy naszego planety, rozdzierały go masy mineralne wylewające się z jego wnętrza. Przez rozpadliny ztąd wyformowane, wypływał roztopiony granit wraz z wodami wrzącemi, posiadającemi w roztworze dwuwęglan wapna, a niekiedy dwuwęglan magnezyi.

d. c. n.

żył tamę dalszej kłótni i chorego zabrał do szpitala.

Trwało to jednak blizko godzinę — przez ten czas biedny człowiek byłby sto razy umarł. Czy zatem spotkawszy podobne bydlę... jak ów szanowny stróż z gmachu b. Rządu Gubernialnego, w anie się członka Opieki nad zwierzętami, nie podziałałoby lepiej, jak spory i kłótnie widzów?

Wiek pisze: *Oeuvres choises de Jules Slowacki*, nieznany nam dotąd z imienia poeta francuski p. Mien, ale poeta, i to pierwsze wody, wydał świeżo w znakomitym przekładzie pierwszy zeszyt tłomaczonych przez siebie utworów naszego wieszcza, mieszczący w sobie tegoż poemacik p. t. Arab. Mieliśmy sposobność widzieć oprócz tego próbki z innych tłomaczonych przez p. Mien utworów Słowackiego, z jego drobniejszych poezyj lirycznych, mianowicie zaś z *Lilii Wenedy*, i wyznać musimy, żeśmy nie mieli pojęcia, iżby przy największej wierności w oddaniu obrazów i myśli, język, lub mówiąc właściwiej, wiersz francuski zdolnym był do takiej giętkości, takiej siły i wdzięku, zachowując zarazem cały urok formy oryginału. Naszej literaturze, sławie naszej poezyi, p. Mien tą pracą swoją niewypowiedziany wyświadcza przysługę.

Z przyjemnością zaznaczamy zawsze każdy objaw szlachetnych uczuć na arenie życia społecznego. Niedawno zmarł jeden ze zdolniejszych artystów dramatycznych p. *Wł. Zaremba*. Grono kolegów, z którymi długie lata wspólnej pracy na polu sztuki łączyły bratnim węzłem zmarłego, postanowiło uczcić pamięć jego wystawieniem skromnego pomnika na mogile artysty. Otworzyły się skromne sakiewki prowincyjonalnych artystów, i nikt nie uchylił się od zacnego czynu. P. *Trabszy*, jako projektodawcy, słuszne należy się uznanie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. A. Z. w Warszawie. Artykułu nadesłanego drukować nie możemy, chyba że podpiszesz go Pan z imienia i nazwiska.

P. Bol. Sz... w Petersburgu. Na prenumeratę dzieł Walter-Skotta możesz Pan nadesłać przedpłatę do drukarni Emila Skiwskiego, Elektoralna 28 nowy.

P. Annie. B...w Wilnie. Dziękujemy za słowa uznania—z rady skorzystamy tem bardziej, iż już myśleliśmy bardzo nad tem.

P. *Piotrowskiemu* w Czernichowie. Z wydawnictwa 25-o tomowego wyszło tomów 8. Co do tomów dalszych — wkrótce podamy oddzielne ogólne ogłoszenie.

Gramatyka pol. Suchec. z przesyłką kop. 65.
„ Jeżykow. „ kop. 77.
„ Małec. „ kop. 25.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Nadstawiałem ucha, aby posłyszeć każde wymówione słowo.

Rube właśnie mówił w chwili, kiedy się zbliżyłem.

— Nie wierzę temu Billu, to nie może być podpalenie tego rodzaju, step nie zapaliłby się sam z siebie.

— Masz najzupełniejszą racyją mój stary?...

— Znam poczciwca, z którym kiedyś spotkałem się na Arkansas. Śmieszny to był człeczyna z powierzchowności, to prawda — ale przebiegał stepy na wszystkie strony, rwał zioła które zasuszał w zielniku tak jak doktór holenderski, któregośmy zabrali będąc w kraju Nawajos po drugiej stronie rzeki Grandu.

— Przypominam sobie tego człeczynę.

— A więc! klepał on zawsze jak ślepa sroka i opowiadał nam bardzo wiele o czemś co nazywał jakto... jak... a palenie naturalne...

— Prawda święta, słyszałem jak o tem rozprawiał.

— Otóż ten oryginał dowodził, że łąka może się zająć, chociaż nic nie znajduje się na niej takiego coby rozniecił ogień. Ale ja temu nie wierzę. Naturalnie to wiem że piorun może zapalić trawę jak zapałka, ale radbym wiedział jak ogień się wszcząć może bez niczego— ot tak sobie, tego to jestem bardzo ciekawy.

— Wątpię żeby to było możliwe—odpowiedział Garej.

— Nie, nie widziałem jeszcze nigdy palącego się stepu, na którymby ogień nie powstał, albo od obozowiska jakiegoś, albo od podpalenia Indyjanina, wyjąwszy ma się rozumieć piorunu.

— Zatem przypuszczasz Rubie, że do dzisiejszego ognia przyczynił się jakiś czerwonoskóry.

— Prawiem tego pewny i zaraz wytłomaczę, dla czego.

Przedewszystkiem piorun nie uderzył dzisiaj rano, a powtóre zadaleko jesteśmy na zachodzie, żeby przypuszczać osady białych rozumie się Teksenczyków. Meksykanie mogą się tu znajdować ale ich za białych uważać nie podobna.

Powracając do rzeczy, podpalaczem nie mógł być i Meksykanin także, bo brunatne skóry nie oddaliłyby się aż tutaj w tej porze roku, wiedząc że to dziś „miesiąc meksykański" u Komanszów.

Z tych otóż wszystkich wychodząc zasad, jasnem jest, że gdy nie ma Meksykanów którzyby wznieśli ogień, a nie było także piorunów, trzeba to więc przypisać czerwono-skórym, albo temu jakiemuś przeklętemu wynalazkowi, temu tam niby paleniu się naturalnemu.

— Tak, albo jedno albo drugie...

Ale że ja nie wierzę w takie cudackie jakieś palenie, więc mojem zdaniem Indyjanie to zrobili z największą pewnością.

— Najsłuszniej dowodzisz, odpowiedział potakująco Garej — a Rube ciągnął dalej:

— Trzeba ci także wiedzieć mój Billu, że Indyjanie od pewnego czasu wściekli są jak wilki i nigdy nie widziałem ich jeszcze tak bardzo wojowniczych. Wojna pomiędzy nami a Meksykiem wpędziła im znowu dyjabła poza skóry i zwracają się na nas, bo jenerał główno-dowodzący nie zezwolił na połączenie się z nami przeciwko Meksykanom. Ręczę ci, że na tym oto stepie albo my im, albo nam oni pościągają ze łbów skóry.

— No dobrze, ale po kiegoż dyjabła łąkę podpalili—zapytał Bill Garey.

— A oto—odpowiedział Rube, czego także nie mogłem domyśleć się od razu. Z początku zdawało mi się, iż to przypadek prosty, że to zrządziły iskry ogniska biwakowego, bo czerwono-skóry nie bardzo są ostrożni, w końcu jednak przyszła mi myśl zupełnie inna. Historyja, jaką opowiedzieli Holandczyk i Francuz, a o jakiej w wiosce się dowiedzieli, wyjaśniła mi rzecz całą.

Znałem historyją do której się Rube odnosił. Quakenboss i Leblanc posłyszeli w wiosce pogłoski o wyprawie, jaką podobno przedsięwzieli Indyjanie przeciwko jakiemuś miastu Meksykańskiemu, leżącemu stamtąd niedaleko i przyprowadzili ją do skutku w sam dzień naszego wyjazdu. Dzicy jak się domyślano Komanszowie, albo Lipansowie zrabowali miasteczko zabrawszy łup i niewolników. Główny oddział bandytów przeszedł tuż koło wioski, którąśmy opuścili, a potem zrobił jeszcze wycieczkę do hacyendy don Ramona de Vargas, i dokończył tam rabunku rozpoczętego przez gierylasów.

Takie były wiadomości, jakich się dowiedzieli dwaj wysłańcy nasi.

— Ty więc myślisz o Indyjanach?—zapytał Garej Ruba.

Tak, odpowiedział Rube i w dodatku jeszcze myślę, iż to te same łotry, którym wytrzepaliśmy skórę przy skale. Nie powrócili do siebie jakieśmy to przypuszczali, bo nie śmieli powrócić nie zdobywszy ani włosów ani koni—Sgawsy wypędziliby ich ze swoich namiotów...

— To nie ulega wątpliwości...

— Czyż nieprawda? Otóż wiesz Billu, co ci chcę obecnie powiedzieć. Od czasu trzepanki owej łotry skryli się tutaj aby doczekać chwili korzystniejszego napadnięcia na miasto i powetowania sobie straty i wstydu.

— To bardzo prawdopodobne, mój stary, ale dla czegóż step podpalili.

— Jak to nie domyślasz się tego jeszcze Billu, a toć to jasne jak słońce.

— Nic się nie domyślam—odpowiedział zaturbowany Garej.

— A dla mnie to rzeczy zrozumiałe zupełnie. Czerwono-skórzy nie zapomnieli łaźni jakąśmy im wyprawili przy skale, a że jest ich widocznie niezbyt wielu i myślą, że my ciągle jeszcze stoimy w wiosce, my cośmy ich tak przećwiczyli potężnie zestrachani abyśmy się nie dowiedzieli o ich rabunku w hacyjendzie i nie pośpieszyli za nimi.

— Zapalili step, aby wszelkie ślady zatracić.

— A no przecie że się domyśliłeś...

— Masz świętą racyją Rubie, ale jak myślisz, gdzie ślad ten prowadzi? koń przecie nie został zaskoczony przez pożar.

Wyciągnąłem się naprzód na siodle, aby posłyszeć odpowiedź dotkliwą i uspokoiłem się bardzo, gdy stary traper odrzekł na to stanowczo:

— Nie, co do ognia to ten nie przeszkodził mu wcale. Ślad jego biegnie w prostej prawie linii, gdyby zaś pożar zaczął się zanim przebiegł łąkę, byłby zawrócił i szedł z powrotem a tego nie uczynił.

Przypuszczam więc, że uniknął niebezpieczeństwa i że po przejściu jego zapalono trawę na stepie.

Słowa strzelca dodały mi otuchy bo prawie pewności nabrałem iż koń biały był zdrów i ocalony łącznie z tą którą na sobie unosił.

Ożywiony lepszą nadzieją, weselszy znacznie jechałem dalej.

ROZDZIAŁ LXV.

Trop czerwono-skórych.

Po chwilowym przestanku moi przewodnicy na nowo rozpoczęli rozmowę, na którą znowu nadstawiłem ucho.

Miałem przyczynę nie wtrącania się do rozmowy. Gdybym im przerwał, może by nie mówili tak swobodnie, a chciałem gwałtem wybadać wszystko o czem myśleli.

Trzymając się z tyłu mogłem wszystko słyszeć dokładnie, bo dzięki tumanom kurzu nie widzieli mnie wcale a na miękkiem kobiercu z popiołu prawie nie było słychać koni, które leciutko ślizgały się po nim jak łanie.

Zatem, odezwał się Garej, jeżeli to Indyjanie zapalili ogień zrobili to przy dobrym wietrze, a że my pod wiatr jedziemy więc w najgorszym kierunku. Cóż ty Rube teraz na to?...

— Zupełnie to samo co ty, to psi doprawdy kierunek ten, w jakim się udajemy.

— Ogień nie dawno się rozpoczął, czerwono-skórzy nie są więc daleko, a jeżeli ślad konia prowadzi nas prosto na nich, toć nie jesteśmy białemi...

— A tak, odparł Bill znacząco, czyli że jeżeli nie źle obrachowali się szelmy, możemy wleść w sam środek ich ich obozu.

Zadrżałem na to przypuszczenie smutne, a poskoczywszy żywo do starego strzelca zapytałem, czy naprawdę jest tego przekonania.

— Tak młody przyjacielu — odpowiedział Rube.

— Myślicie zatem, że mamy Indyjan przed sobą, i że koń biały poleciał do ich obozu.

— Nie mówię tego że tam poleciał, nie mogę także zapewnić że mamy Indyjan przed sobą chociaż tak mi się wydaje.

Nie ma innej przyczyny do wytłómaczenia pożaru, ja przynajmniej z Billem nie mogliśmy innego powodu wymyśleć. Jeżeli są tam Indyjanie, to nie myślę aby biały rumak poleciał do ich obozu, ale za to myślę że go ze sobą zabrali...

— Jakto myślisz, że go Indyjanie zabrabrali...

— Właśnie.

— Ale jakim sposobem, z jakiej przyczyny tak sądzisz?

— Ba! — dla tego, że tak się domyślam.

— Mój Rubie, wytłomacz się jaśniej, jęczałem błagalnym głosem.

Obawiałem się, ażeby się nie wzdragał powiedzieć, dla czego myślał jak mówił.

Byłem zanadto niespokojny ażeby być cierpliwym, ale na szczęście prośba moja otrzymała pomyślny skutek.

— Naprzód otóż mój kamracie, młody koń o którego nam chodzi musiał przelatywać tędy na chwilę przed zapaleniem się łąki i najrozsądniej jest przypuszczać, że ktokolwiek dokonał tego pięknego dzieła czy Indyjanie czy ktokolwiek inny, ogień w stronę wiatru podłożył.

Rzecz bardzo dla mnie prawdopodobna, że łotry, spostrzegły konia a dalej bardzo jest prawdopodobnem także, iż nikt nie mógł patrzeć na brudne zwierzę i przywiązaną na nim dziewczynę bez ciekawości dowiedzenia się co to jest właściwie. Indyjanie musieli więc rzucić się w pogoń wrzeszcząc jak potępieńcy zaczeli nań polować i złapali go na swoje długie sznury; daję wam na to słowo moje. Oto jak właściwie rzeczy stoją.

— Sądzisz że mogliby go uchwycić...

— Z pewnością. Pomyśl tylko że w tej chwili koń upadał ze zmęczenia, a no chyba że ma dyjabła w sobie... o co go także zaczynam podejrzewać!... Ah mój Boże, otóż właśnie to o czem mowiłem. Patrzcie tam... tam!...

— Co takiego?—zapytałem widząc że traper zatrzymuje się nagle i pokazuje punkt jakiś na ziemi w której wpoił swój zwrok przenikliwy. Cóż to takiego Rubie zapytałem nie widząc żadnej nadzwyczajności.

— Jakto, nie widzisz tych śladów koni skupionych w stado jak barany?

Rzeczywiście spostrzegłem teraz na powierzchni lekkie zagłębienia prawie zasypane popiołem, nie byłbym się nigdy domyślał co to takiego było.

— Widzisz—odparł Rube—to są wszystko ślady koni indyjskich.

Alež može to było stado dzikie, odezwał się jeden z towarzyszów zbliżając się aby się przypatrzeć dokładniej.

— Tyś sam ośle dziki—odpowiedział Rube rozczerwieniony ze złości. Czy widziałeś ty kiedy dzikiego konia? Czy myślisz żem jak kret ślepy. Stój stara!—wrzasnął na klacz swoją i zeskoczył jednocześnie na ziemię. Stój stara! —powtórzył— ty się na tem znasz lepiej jak ten drągal i jemu podobni, widzę po twojej minie. Poczekaj chwilkę, niech tylko Rube Rawlings objaśni blanc-beków, że góral umie rozpoznawać tropy koni indyjskich. To dalibóg godne jest politowania.

Po takiem wylaniu żółci, traper nachylił się, przyłożył usta do ziemi — i zaczął dmuchać na czarny popiół.

Inni jezdzcy zbliżyli się tymczasem i zaczęli się przypatrywać...

Rube oczyścił z popiołu jedno zagłębienie, które jak utrzymywał było śladem kopyta końskiego i które w istocie dokładnie się teraz zrysowało...

— No a teraz proszę acana—odezwał się z miną tryumfującą i rozgniewaną do tego który się ośmielił zakwestyjonować jego dowodzenia. Oto ślad podkowy i to jeszcze jakiej podkowy. Czyś asan widział kiedy dzikiego konia, dzikiego muła albo nawet osła dzikiego podkutego w ten sposób? Ha! jeżeliś widział — to więcej widziałeś jak stary Rube Rawlings, co blisko lat czterdzieści zamieszkuje na stepach i zna się z tem wszystkiem co żyje na nich wybornie.

Nie było się o co spierać, ślad był widoczny i wszyscy poschodzili z koni aby mu się lepiej przypatrzeć.

Tak jest to były znaki konia podkutego albo przynajmniej znaki konia którego kopyto zaopatrzone było w rodzaj podkowy z grubej skóry bawolej.

Wiedzieliśmy wszyscy, że tego rodzaju podków, jeżeli to tak nazwać można, używali Indyjanie i sami tylko Indyjanie wyłącznie.

Jasnem się tedy stało jak słońce, iż Indyjanie przechodzili byli tędy...

ROZDZIAŁ LXVI.

Tłomaczenie hijeroglifów.

To odkrycie zmusiło nas do nowego przystanku i narady...

Do narady zawezwani byli wszyscy, ale jak zwykle wszyscy słuchali tego tylko co mówił Garej i Rube, a ten ostatni przedewszystkiem.

Stary traper miał wielką ochotę pogniewać się jeszcze trochę bo nie spieszył z radą swoją i ze zdaniem swojem. Nic bo nie drażniło go bardziej jak przeczenie, albo powątpiewanie o jego zdaniu.

Co prawda mało kto mógł by mu chyba wyrównywać w znajomości stepu. Nie zawsze może miał racyją, ale gdzie się już on omylił tam nikt inny nic by poradzić nie mógł z pewnością. W obecnym wypadku człowiek który mu postawił zarzut najmłodszym był prawie z oddziału i to starego tym więcej dotknęło jeszcze.

Ba!—w oczach Ruba, było to zdarzenie oburzające.

— Smyku jakiś — rzekł jeszcze nie mogąc się uspokoić — ty będziesz mi dawał nauki... Obróć zawsze pierwej siedem razy ozorem w gębie zanim się odezwiesz.

Winowajca nie odpowiedział nic na to, czem rozbroił trochę zrzędę, to też przybierając niebawem zwykły spokój, teraz, rzekł—to już fakt nie ulegający że to Indyjanie przechodzili tędy...

Konie meksykańskie kute są zwykle na przednie tylko nogi, konie dzikie pozostają w stanie natury.

Te co przebiegały tędy nie były ani dzikimi ani meksykańskimi, były więc końmi należącymi do Indyjan.

Chociaż rozpoznanie pierwszego tropu tłomaczyło już wszystko dokładnie, ale była to rzecz zanadto ważna aby jej na wszystkie strony nie wybadać.

Obecność czerwono-skórych to obecność nieprzyjaciela; było też coś więcej nad samą ciekawość w uwadze z jaką się moi kamraci przypatrywali złowrogim śladom.

Zaczęto wydmuchiwać popiół żeby więcej miejsca oczyścić i jeszcze przypatrzeć się lepiej —a głównie żeby całą sprawę raz jeszcze oddać nie pod zawyrokowanie Ruba i Gareja tych wyjadaczów jak mówiono stepowych...

Kto tam kolwiek byli ci jezdcy mniejsza oto, dość że pędzili galopem, że nie szli w kierunku prostym, ale skręcali to w prawo to w lewo biorąc inny ciągle kierunek. Musiało ich być najmniej ze dwudziestu ale, że nie jechali porządkiem tylko się ustawicznie kręcili, stąd ślady kopyt nadzwyczaj były liczne.

Starzy strzelcy przekonali się dostatecznie o tem przebiegając po stepie i przypatrując się śladom...

Żeby im nie przeszkadzać w czemkolwiek zatrzymaliśmy się oczekując niespokojnie na rezultat...

Po dziesięciu minutach powrócili do nas— wyczytali w hieroglifach wszystko co tylko wiedzieć chcieli i nie potrzebowali żadnych już wyjaśnień więcej.

To dotarcie do gruntu rzeczy wyjaśniło im także najważniejszą ze wszystkiego okoliczność.

Wiedzieliśmy wszyscy że obecność Indyjan poprzedziła spalenie stepu. Domyślaliśmy się bo tego łatwo się domyśleć było, że przechodzili tędy dziś po wschodzie słońca ale o której działo się to godzinie.

Na moje wielkie zdziwienie traperzy przyszli mię powiadomić nie tylko o tem o której godzinie koń biały przebiegał tędy, ale dodali jeszcze że jezdzcy indyjscy robili nań obławę.

Stary strzelec więcej był jak zwykle gadatliwy, nie mogło być już mowy o śledzeniu białego rumaka naszego. Indyjanie byli tuż, ostrożność była konieczną, zdanie najmłodszego nawet z kompanii smyka nie było obecnie do odrzucenia bo w wkrótce i najsłabszy nawet z małego naszego oddziału będzie nam potrzebnym i użytecznym.

To też traperzy w odpowiedzi na liczne nasze pytania oznajmili nam otwarcie swoje odkrycia.

Rube mówił:

— Tak biały koń był tutaj jest temu ze cztery godzin. Nie zatrzymywał się widocznie nigdzie chyba w tamtym oto lesie i całą dalszą drogę odbywał galopem — to jest zupełnie jasne. Ponieważ znamy przestrzeń to wiemy i czas jakiego na przebieżenie jej potrzebował, to także podobno jasne, to też od czterech godzin może trochę mniej, może trochę więcej jesteśmy już na śladzie... ale to nie wszystko jeszcze. Przeklęte czerwono-skóry przybyli tu zaraz po nim, widzieli oni konia a może śledzili go nawet. Że lecieli później za nim to my z Billim jesteśmy najzupełniej tego pewni.

d. c. n.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatrzyki ogródkowe.

ELDORADO.

Najpopularniejszym z ogródkowych przybytków Melpomeny jest bez wątpienia Eldorado. Pan Teksel wynalazł jakiś talizman, który przykuwa doń pewną część publiczności. Przypatrzmy się najprzód temu gronu szan. protektorów sztuki i Brejbisza czy Kijoka, a przekonamy się, jakich to zwolenników ma wesoła muza, przebywająca w tem uroczem schronieniu. Otóż rzeczywiście pod małym cieniem Eldoradowego ogródka roją się tłumy wykwintnych dam, które wypełznąwszy na świat boży z najniższej kałuży społecznego życia i nęcąc wytartymi wdziękami rozpustną młodzież i podstarzałych donżuanów, produkują erotyczne obrazy niższego rzędu. Biada matce, która poprowadzi tam córkę swoją. Rozpasana młodzież powita ją na równi z prawemi obywatelkami tego przybytku. Byłem niedawno świadkiem oburzającego obejścia, jakiego doznały dwie damy, które nieświadome obyczajów tamtejszych przybyły w celu godziwej rozrywki. Nie chcemy powtarzać samej treści faktu, aby nie wywołać rumieńca na lica czytelniczek naszych.

Takie to grono zdołał zwabić szan. Dyrektor wesołą nutą kankanowskiej piosenki. „*Małe Fausty*“„*Piękne Perfumiarki*“ i “*Córeczki pani Angôt*“ pośpieszyły na wyścigi, aby zalotnym uśmiechem przynęcić tę cząstkę publiczności, w której najłatwiej poruszyć niższe instynkta natury ludzkiej. Za wesołemi dziećmi rozpusty poszły szeregiem ponure cienie melodramatycznych bohaterów, starając się podrażnić czułe nerwy mniej wykwintnego gustu publiczności. I oto widzimy tu „*Ralfa Rozbójnika*“, prowadzącego za sobą tysiące okropności, na widok których drżą czułe serca. Na mniej zaś drażliwych indywiduach najbardziej dramatyczne i groźne sceny przeciwny zupełnie wywierają skutek. Często podczas śmierci bohatera usłyszysz homeryczny śmiech pospólstwa.

Okrutnego Ralfa poprzedziła również wspaniała w tym rodzaju produkcyja. Jakiś fabrykant literacki powycinał bez ładu i składu najbłyskotliwsze szmatki ze znakomitej powieści Wiktora Hugo: „*Notre dame de Paris*“, ubarwił stosowną barwą melodramatyczności, zmodyfikował nieco treść, i zrobił tak okropną karykaturę, że na widok jej zapłakałby czcigodny wieszcz nadsekwańskiej ziemi.

Trzeciego rodzaju produkcyje stanowią smaczne delikatesy z francuskiej kuchni, lub najpospolitsze farsy różnego rodzaju. Niedawno np. zaprodukowano wielce moralnego „*Pana Alfonsa*“ *Dumasa*, a na przekąskę po tak smacznej uczcie, dano niemiecką sztuczkę p. t. „*Nowa la Farce*“:— utwór godzien stać na równi chyba z nieśmiertelnym Małym Faustem.

P. Teksel daje masę nowości, lecz na dziesięć produkcyj zaledwo jedną istotnie zdrową znaleść tu można. Do rzędu ostatnich należy przedstawiony niedawno *Mentor Fredry (syna)*.

Wobec takiego repertoaru trudną jest zaiste rzeczą wykazać zdolności artystyczne.

Czyż podobna dopatrzeć talentu w pajacowskich produkcyjach farsy, lub melodramatycznego patosu. Przytem, jakżeż zabójczo wpływa na rozwój zdolności scenicznych tego rodzaju zaprzęganie zdolniejszych nawet artystów do błazeńskiego wózka, wkładanie na skroń prawdziwych adeptów Melpomeny pajacowskiej czapeczki. Nie mówimy tu już o mniej wydatnych zdolnościach. Niektóre z artystek szczególniej w roli hrabin i innych dam wielkiego świata zanadto przypominają rozpasane ruchy kankanowskich uniesień.

Pragnąc jednakże wykazać choć wybitniejsze zdolności, przyjrzyjmy się zaprodukowaniu prawdziwego płodu sztuki, na którem ostatni raz się znajdowaliśmy. Mówimy tu o *Mentorze*. Tytułową rolę grał p. Teksel. Szan. dyrektor wykazał tu spory zasób rzeczywistego talentu, którego mu nikt odmówić nie może. Z drugiej jednakże strony i p. T. nie jest wolny, w mniejszej zresztą mierze od wady, wspólnej wszystkim przewodnikom adeptów *Melpomeny*, któryrym wobec wielu zajęć, braknie czasu na czuwanie nad samym sobą. Nie można zanadto dowierzać intuicyi, która niekiedy zawodzi. Gra p. T. była pełną werwy, siły i inteligencyi; ale mimo to nierówna i należycie nie wycieniowana. W głosie czuć było maleńką zresztą dozę manijery, wspólnej większości prowincyjalnych artystów, a mianowicie patosu.

P. Jankowski Adolf w roli Wacława wykazał wiele uczucia i inteligencyi gry. Lecz młody ten artysta walczyć jeszcze musi z wielu warunkami: głos jego nieco za twardy i nie wyrobiony, ruchy niepewne, całość gry nieharmonijna.

P. Kaliciński roli Pułkownika nie zrozumiał zupełnie, a gdyby nawet zrozumiał, nie byłby zdolny należycie jej zaprodukować. P. K. jest artystą miernych zdolności, aczkolwiek widoczną pracą i długoletniem doświadczeniem doszedł do pewnej rutyny. W grze jego jednakże czuć wiele nieznośnych manijer, a szczególniej patetyczna deklamacyjność i jednostajność dykcyi sprawiają, że artysta ten każdą prawie rolę popsuje. W Mentorze p. K. nie uwydatnił ani jednego rysu, którym zaznaczył autor postać pułkownika.

Panna Biron jest jedną z najzdolniejszych artystek. Gra jej pełna uczucia i inteligencyi wielkie na przyszłość rokuje nadzieje. Przy należytem wyrobieniu gry twarzy i siły dramatycznej, których to przymiotów w części brakuje jej jeszcze, p. B. stanąć może w rzędzie prawdziwie utalentowanych artystek. Szkoda tylko, że talent swój marnować musi na melodramatycznych produkcyjach, które wyrabiają tylko niewłaściwą i nienaturalną manijerę.

W Mentorze p. B. grała rolę Wandy, tak świetnie niegdyś odtworzoną przez ś. p. Bakałowiczową. Otóż lekka ta rola mniej nadawała się do talentu artystki. Za mało tu było werwy i żywości, uwydatniającej charakter młodej wdówki. P. B. nie umiała wycieniować wielu subtelnych efekcików, których ogromne bogactwo można tu było wydobyć.

Pani Święcka należy do tego rodzaju artystek, które mimo sporych zasobów zdolności artystycznych, popsują efekt każdej roli przez niewłaściwą szarżę i nieznośną a jednostajną manijerę. W skutek tego gra jej bywa niekiedy wielce niesympatyczną, aczkolwiek uwydatnia w niektórych miejscach spore zasoby artyzmu i inteligencyi.

Uwagi te stosujemy do wszystkich jej charakterystycznych produkcyj, a w szczególności i do roli pani Rozamundy w Mentorze.

W rolach dramatycznych, jakie jej niekiedy powierzają, artystka ta psuje zupełnie harmoniję całości.

P. Waliszewski przy sporych zasobach wrodzonych zdolności, nie umie stąpać samodzielnie po drodze rozwoju, co jedynie mogłoby wprowadzić go na szczyt prawdziwego artyzmu; kieruje się więc raczej ślepem naśladownictwem, stara się przybrać najdrobniejsze manijery mistrza, do czego mu znowu sił nie starczy. Błędny ten kierunek spacza w zupełności rozwój jego zdolności artystycznych. Nie kierując się siłą własnych zasobów i inteligencyi, artysta ten uwydatnia grę nierówną, chropowatą, należycie niezacieniowaną. Chwile silniejszych porywów, aczkolwiek obok wskazanej wyżej wady grzeszą też niekiedy zbytnią melodramatycznością, wychodzą jednakże stosunkowo lepiej. Za to w spokojnej grze p. W. obok właściwej pośpieszności i niewycieniowania dykcyi braki zupełnie prawdziwego artyzmu. Ostatnią uwagę stosujemy też do roli Krzysztofa w „Mentorze“. Trudno tu nawet było pochwycić znaczenie wyrazów, a cóż dopiero mówić o grze samej.

Panna Krajewska z talentem odtwarza postacie *hic-mulier*. Trochę tylko mniej szarży, więcej równości gry, a całość wyjdzie wcale dobrze. W „Mentorze“ artystka ta odtworzyła postać Majorowej Rowczyńskiej z niepospolitą werwą i charakterystyką.

P. Jankowska w roli poważnej pani Teresy zanadto przypominała niekiedy w ruchach właściwe sobie przyzwyczajenia, których nabyła w farsach i operetkach.

Z innych artystów, którzy nie produkowali się w Mentorze, wspomnieć tu jeszcze musimy o pp. Tomaszewiczu, Carmantrant, Kelerze i o pannie Czesł. Czapskiej.

P. Tomaszewicz jest jednym z najbardziej utalentowanych artystów prowincyjonalnych. W grze jego upatrujemy mniej daleko tych nieznośnych manijer, które krępują największe zasoby talentu.— Jednakże p. T. w pewnych sytuacyjach przechodzi niekiedy miarę właściwości efektu, wpadając w szarżę. Wogóle jednakże jest to artysta, który z każdej kreacyi wytworzy typ oryginalny, pełen werwy i życia.

Gra *Pana Carmantrant* jest całkowicie skomplikowaną rutyną. Znakomita charakterystyka i umiejętna gra twarzy giną często w dysharmonii nieznośnych manijer.

P. Keler jest to zdolny i sumienny artysta. Nie hołduje on na równi z innymi nieznośnej rutynie.

P. Czesł. Czapska ma nieco intuicyjnych zdolności. Ale bez światła prawdziwej inteligencyi, której w grze tej artystki dopatrzeć nie mogliśmy, p. Cz. daleko zajść nie może. W rolach heroin dramatycznych obok silnego dosyć,

aczkolwiek patetycznego niekiedy uczucia w głosie, widocznym jest brak należytej jego giętkości i zacieniowania. Krzykliwość efektów nie zastąpi rzeczywistego artyzmu. Lekkie role wychodzą w grze tej artystki niezrównanie lepiej

Wogóle więc widzimy, że artystycznym zasobem trupy p. Texla obok rzeczywistego niekiedy talentu, brak należytego na właściwej drodze wyrobienia, brak odpowiedniej szkoły, gdzieby talent mógł rozwinąć się i dojrzeć. A czyja w tem wina?... Niepotrzebujemy tu nawet objaśniać.

Artyści zbierają laury wobec niezbyt wykwintnej publiczności. Grzmią brawa!—Smutna to niekiedy ironija te brawa!... Artystka duszkiem wypiła na scenie kufelek piwa. Brawo!.. bis!... wołają rozradowane tłumy. Inna artystka podskoczyła zręcznie w kankanowskiem uniesieniu. I znowu brawo!... bis!.. i t.p. Smutne laury, smutna sława artystyczna!..

W dniu, kiedyśmy oddali ten artykuł pod prasę, p. Teksel ma zaprodukować oryginalną nowość, o której wzmiankę zostawiamy do przyszłego N-ru. *A. Pilecki.*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Podarek humorystyczno-satyryczny przez Edwarda Bukowskiego. Warszawa. Nakładem J. Korzeniowskiego, Drukarza. 1875 r. str. 96 in 12-o, cena kop. 20.

W krótkości wykazać można treść tych produkcyj, prozą i wierszem skreślonych. Jest ona tak monotonną i przetrawestowaną na różne tempa przez wszystkich humorystów naszych, że nic tu istotnie odznaczającego się nie dopatrzysz. Otóż jakie sytuacyje przedstawia nam autor. Ona była starą, lecz bogatą, a on, goły szkaradnie, a więc złożył u jej nóg młodość swoją, aby w zamian za to zdobyć marny kruszec, który roztworzy mu wrota do krainy rozkoszy. Dalej widzimy młode dziewczę, które autor przedstawia niby w uroczych barwach, lecz w końcu, cnotliwa piękność ucieka z wąsatym *kirasyjerem* (!). Inna znów niby kocha duszą całą, a w końcu zdradza niegodziwie i dla blasków bogactwa niebo miłości poświęca. Tu znowu widzisz młode dziewczę u stóp ołtarza, przysięgające miłość zgarbionemu i siwemu starcowi. Na licach jej igra uśmiech! Ludzie mówią, że to tylko gorączkowy płomyk udanej radości! Hołdowanie modom, żądza tryumfów, lekkość i udanie — oto wady, które monotonnym szyderstwem chłoszcze autor.

Z drugiej znów strony młodzieniec lekki, próżny, utracyjusz, żądny uciech i rozkoszy, również odbiera należne *monitum!* Lecz w ogóle sfera erotyczna przeważnie się rozwielmożniła. Zdrada małżeńska jest tu również przedstawioną.

Niekiedy odezwie się w prawdzie silniejszy ton Hejnowskiego zakroju. Całość jednakże, jako zbiór utworów humorystyczno-satyrycznych posiada zbyt mało dowcipu i humoru, a jako poważniejszym poetycznym produkcyjom brakowałoby im siły, natchnienia i piękności form. Umieszczone w końcu fraszki są po większej części bez żadnego dowcipu.

Wieczory wróżki. Zbiór powiastek dla młodzieży, wolny przekład z francuskiego. Warsz. Nakł. M. Orgelbranda 1875 r. str. 229 in 8-o.

Jest to jeden z udatniejszych zbiorków, dla młodego pokolenia przeznaczonych. Chrzestna matka pod przybraną postacią wróżki opowiada biednej i zaniedbanej dziewczynie „Kopciuszkowi“ różne powiastki. Pomimo tytułu, fantastyczność uwydatnia się tylko w pierwszej powiastce, reszta opiera się na gruncie rzeczywistości, czerpie materyjał z życia i przedstawia wiele pouczających obrazów. Najudatniejszą i najbardziej doniosłą pod względem treści jest powiastka p. t. „Panna Kaprysńnicka“ gdzie przedstawia autor proces umoralnienia złych dzieci w formie prostej i przystępnej. Pomijając kilka powiastek, gdzie treść już mniej doniosła i forma mniej udatna, w całości jednakże dopatrzeć musimy wiele istotnie pożytecznych ziarn myśli, wiele promyków serdecznego ciepła. Pierwsze użyźniają płodny grunt dziecięcego umysłu, drugie ogrzewają niewinne serca młodzieńcze. Język czysty i poprawny stanowi również ozdobę tych utworów.

Chronologija czyli nauka podziału czasu, zastosowana do zrozumienia i ułożenia sobie kalendarza napisana przez Antoniego Odrowąża Kamińskiego. Nakładem Autora. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1875 r. str. 67 in 8-o.

Zdefiniowawszy sam wyraz „chronologija“ wykazuje dalej autor znaczenie czasu i wieczności Następnie objaśnia, co to jest epoka i era i wylicza szczegółowo różne ery historyczne. Później mówi o Kalendarzu, etymologicznem znaczeniu samego słowa, i iloraki bywa kalendarz, objaśnia znaczenie roku, czterech pór jego i różne w związku z tym przedmiotem będące kwestyje, jakoto: księżyc i obrót synodyczny węzłów, fazy czyli lunacyje księżyca, pełnią i i zaćmieniem jego wiek księżyca, okrąg księżycowy i t. d., uwydatniwszy to właściwym rysunkiem. Następnie wylicza różne kalendarze, jako to: Rzymski, Julijusza Cezara, Gregoryjański, jak również różne postanowienia w tym względzie synodów i papieży. Dalej mówi o przyjęciu nowego kalendarza, o latach przestępnych. Później znowu wyszczególnia kalendarze: Żydowski, Arabski, Turecki i Rzeczypospolitej Francuskiej. W dalszym ciągu przeprowadza cały systemat słoneczny, zastosowanie jego do podziału czasu i ułożenia kalendarza, poruszając wszelkie tyczące się tego przedmiotu kwestyje. W końcu mówi o oznaczeniu dnia Wielkiejnocy. Całość przedstawia wykład czysto elementarny, w popularnej bardzo przedstawiający się formie. Młodzież i ludzie mniej wykształceni z pożytkiem mogą przestudyjować tę książeczkę.

A. Pilecki.

ROZMAITOŚCI.

Oszustwo. D. 8 kwietnia 1875 r. odbył się w Krakowie przed sądem przysięgłych nowej kadencyi proces o oszustwo przeciw Efraimowi Mondererowi, właścicielowi Zatoki w powiecie Bocheńskim. Monderer, korzystając z nagłej śmierci kolonisty Jana Michla, od którego był nabył grunt w Majkowicach w r. 1860, i pozostał mu winnym 500 złr., namówił dwóch izraelitów do wydania sobie świadectwa, legalizowanego przez notaryusza w Bochni, jako byli obecni w chwili, gdy Jan Michel, będąc na kilka godzin przed śmiercią na jarmarku w Bochni, zawarł z Mondererem ugodę, i odstąpił mu całą swą zahypotekowaną i w drodze egzekucyi będącą już należność, za połowę w gotówce wypłaconej mu tamże summy. Na podstawie owego fałszywego świadectwa, Monderer wniósł rekurs do sądu wyższego Krakowskiego a przeciw wyrokowi tegoż sądu do najwyższego trybunału.

Sąd przysięgłych uznał dziesięciu głosami Monderera, obu zaś świadków jedenastu głosami, winnymi zarzuconej im zbrodni, i skazał Monderera na 5 lat, obu zaś świadków po 2 lata ciężkiego więzienia.

* * *

Proces o loki. Do czego to zazdrość płci pięknej doprowadzić może? w jak rozmaity objawia się sposób? W Zgorzelicach na Szląsku pruskim mieszkają pan D. i pani R. Pan D. ma córkę i pani R. ma córkę. Panna D. jast bardzo przystojną panienką, ale nie ma tak niezwykle cudnych, wspaniałych włosów, jak panna R. Włosy panny R. zwijają się w prześliczne kędziory a bujne loki spadają jej na ramiona. Wszyscy podziwiają te loki, a panna D., szczera przyjaciółka panny R., zazdrości jej z całego serca. Były na balu, tańczyły tuż obok siebie. W wirze walca pana D. słyszy te słowa: „Ach, te cudne, cudne loki“. Słowa te wyrzekł porucznik. „Wojna z lokami“—zawołała w duchu panna D., i w dwa dni po balu zaprosiła do siebie przyjaciółkę na herbatę. Rozmawiają, bawią się, panna R. siada do fortepianu; z pod palców jej wypływa smętna sonata Beethovena—panna D. słucha, zbliża się, staje za gającą, i śród najsilniejszego „forte“ odcina loki przyjaciołce. Panna R. nie czuła wcale tej operacyi, dopiero w domu u siebie przy toalecie spostrzegła amputacyją. Pobiegła do przyjaciołki z wymówkami, lecz ojciec panny D. obrażony, skarży ją o oszczerstwo; wówczas pani R. staje w obronie córki i skarży o uszkodzenie ciała. Sędziowie byli w ambarasie, gdyż nie ma dotąd w kodeksie paragrafu, specyalnie o lokach traktującego, jednak na wniosek prokuratora połatano paragrafy, i sąd skazał zdobywczynię loków na 5 dni więzienia, albo 15 talarów kary.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Іюня (7 Іюля) 1875 г.— W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.